ROK I WARSZAWA, GRUDZIEŃ 1928 R. Nr. 6

WIEŚCI Z POLSKI

MIESIĘCZNIK DLA POLAKÓW NA OBCZYŹNIE
ORGAN STOWARZYSZENIA "OPIEKA POLSKA NAD RODAKAMI NA OBCZYŹNIE"

Krajobraz zimowy



fot. Marcinkowski.

*
* *

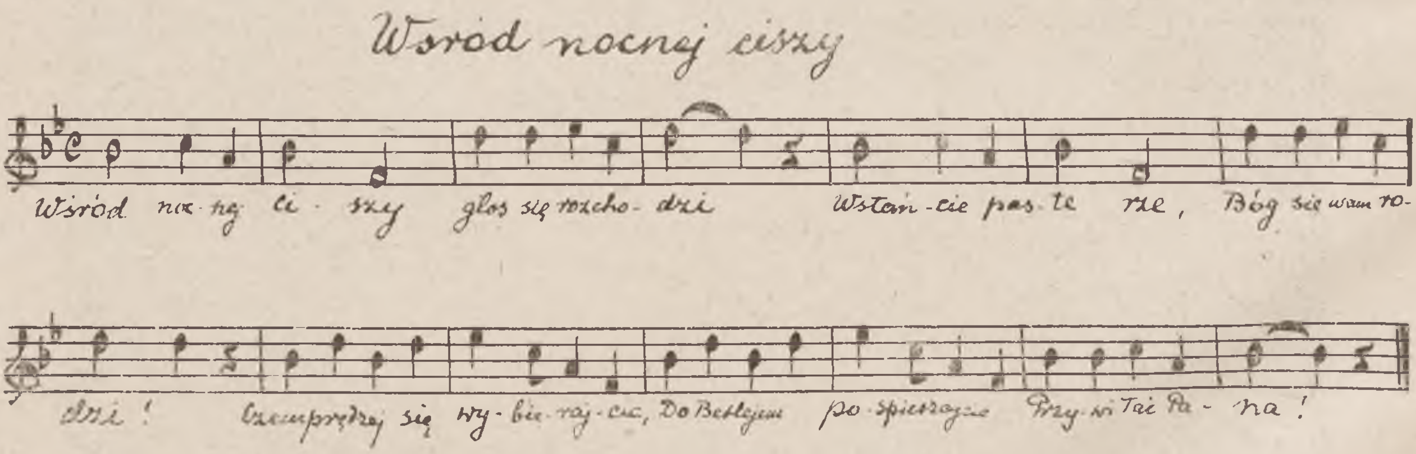
Dorocznym zwyczajem Opieka Polska przesyła rodakom swoim na obczyźnie serdeczne życzenia świąteczne wszelkiego dobra i pomyślności i dzieli się z niemi opłatkiem, tym najpiękniejszym symbolem łączności polskich serc.

Ze szczególnem wzruszeniem łączmy się z Wami w tym roku dziesięciolecia Ojczyzny odrodzonej, we wspólnej radości i wdzięczności dla Boga, że nietylko skruszył Jej okowy, ale otacza Ją nadal błogosławieństwem swojem i pozwala nam pracować dla dobra Jej i chwały.

Do pracy tej, która napełnia nas szczęściem i dumą, powołał Bóg wszystkich Polaków, zarówno na polskiej ziemi mieszkających, jak tych, którzy są na obczyźnie. Zapraszamy was mili bracia, do ściślejszego jeszcze współdziałania. Wysiłki i ofiary wielu z Was, dopomogły już bardzo wiele dla odbudowy Polski. Obecnie Ojczyzna już nie żąda od Was ofiar dla siebie, życzy Wam powodzenia w pracach Waszych i dobrych zamiarach, opieką swoją osłonić Was pragnie, dobrem słowem pokrzepić, cieszy się dobrobytem Waszym, a zło, które Was dotyka, przejmuje Ją głęboko. Na dalekich placówkach wysunięci, jesteście strażnikami dobrego Jej imienia i sławy wśród obcych. Każdy dobry czyn polski, każda polska zasługa blasku Jej przydaje. Niechże się bogaci naszą i Waszą pracą skarbnica polskich cnót, polskiej wiedzy, niech się dźwiga coraz wyżej polska siła, oparta na rzetelnej pracy i bratniej łączności.

Z ufnością patrzymy na młode pokolenie, na obczyźnie zrodzone, prawych dziedziców kultury polskiej, jej u źródeł podniety i wzorów szukających dla swego rozwoju. Życzymy gorąco, aby ten Rok Nowy przyniósł im jak najwięcej wiedzy, doświadczenia i jeszcze ściślej zespolił w pracy nad pielęgnowaniem i wzmacnianiem w sobie ducha polskiego.

STOWARZYSZENIE OPIEKA POLSKA
NAD RODAKAMI NA OBCZYŹNIE.



Poszli, znaleźli Dzieciątko w żłobie,
Z wszystkiemi znaki, danemi Sobie,
Jako Bogu, cześć Mu dali,
A, witając, zawołali
Z wielkiej radości:

— Ach, witaj, Zbawco, zdawna żądany,
Cztery tysiące lat wyglądany!
Na Ciebie króle, prorocy
Czekali, a Tyś tej nocy
Nam się narodził!

Pienia Aniołów brzmią pod niebiosy,
Śpiewajmy z nimi wspólnemi głosy:
Chwała Bogu w wysokości,
A ludziom na tej niskości
Niech pokój będzie!

EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI.

Blokhauz pod Syreną.

W roku Pańskim 1918-ym stało się, iż na „czerwoną” Rosję ruszyła sprzymierzona z nią niegdyś Wielka Koalicja. Przed dwudziestu kilku laty Rosja robiła najazd na bokserskie Chiny z tą samą Koalicją. Ale w historji fortuna toczy się kołem zmiennem.

Na pobrzeżu Murmańskiem i w porcie Archangielska wyładowywały się okręty, powiewające banderą Wielkiej Brytanji. W ponure ujście Dźwiny Północnej wgrzązł kolos pancernego krążownika, niby żelazna wyspa pływająca. Na brzeg sypnęła się ciżba zbrojnych ludzi w mundurach zielonych i błękitnych, szarych i zielonawo - żółtych. Po ziemi zamordowanego cara deptali Anglicy i Francuzi, Włosi i Amerykanie. Nie brakło walecznych Serbów, którzy dla swej Ojczyzny bohaterskiej wysługiwali się tu handlarskiej Anglji. Była również garstka oberwańców, pyszna ze swej nędzy i bezpańskości. Składała się ze szlachetnych awanturników i tułaczy zajadłych. W obliczu wroga robili oni bronią chwyty, jak na paradzie, a wśród tundry podbiegunowej co wieczora śpiewali głębokim głosem smętną w swej śpiewnej powadze „Rotę”.

W pierwszych miesiącach wyprawy Francuzi i Serbowie, łącznie z tą garstką Polaków, walcząc 1 przeciw 10, zdobyli na bolszewikach kilkaset kilometrów ziemi wgłąb dziewiczych borów i odwiecznych bagien. W tym czasie Anglicy urządzali na tyłach wielkie skały, zwożąc całemi okrętami żywność, zakonserwowaną w blaszankach, pomalowanych na wszystkie kolory. Włosi tych składów pilnowali.

Gdy w ciągłem natarciu bataljony francuskie i serbskie zdarły się, jak długo niereperowany but, ofenzywa utknęła w miejscu; znużonych zastąpiono bataljonami szkockiemi i wojskiem amerykańskiem. Co do Polaków, to wycofać ich nie miał zamiaru nikt. Bo po pierwsze: Polak wogóle nie ma się nużyć; powtóre — o krzywdę polską nieistniejące jeszcze Państwo upomnieć się nie mogło; po trzecie — owi Polacy byli wprost niezastąpieni: znali język tubylców, na wywiad zapuszczali się w bagna jak djabły za całą armję i nie zdradzali sprzymierzeńców, czego nie można było powiedzieć o współdziałającej z Koalicją „białej gwardji” rosyjskiej.

Anglicy, jak bociany, przyszczudłowali po bagnach na front, zajęli zdobyte już obszary i „nastąpiła” tam Anglja. Rozlegała się angielska komenda; wojacy na warcie stali, a raczej siedzieli z fajką w zębach, czytając Times'a; noga co krok potykała się o blaszanki po zjedzonych konserwach, w których mądrość brytyjska zamarynowała w glicerynie i occie to wszystko dla swej armji, co na świecie da się wypić i zjeść. A więc: od mięs z afrykańskich małp i kangurów Australji [1]). aż do kompotów z brzoskwini kalifornijskiej.

I sama wojna przeinaczyła się na wojnę specyficznie angielską. Straciła francuską brawadę, serbską zaciekłość i polską furję, zato stała się rozważną, namyślającą się i nieskwapliwą. Nieskwapliwą, jak maszerujący Szkot, który robi dziennie nie więcej nad 10 kilometrów, o ile nie porusza się automobilem lub pociągiem.

Zresztą nie było się już poco śpieszyć . Pod osłoną angielskiego bagnetu stał dziewiczy las budowlany, zajmujący obszar do 250.000 kil. kw. Wpierw należało wyciąć tyle jodeł wiekowych i spławić je morzem do New - Castle'u, a potem już myśleć o dalszych sukcesach wojennych. Zasię na teraz trzeba było zdobyte bogactwo trzymać w ręku i — utrzymać. Tedy wyprawa militarna weszła w okres tł zw. wojny kolonjalnej, w której to wojnie Anglicy osiągnęli rutynę mądrą i jedyną w swoim rodzaju. Afganistan czy Rosja, mniejsza o to, tu i tam jednakowa Azja. Jenerałów angielskich doświadczenie poucza, że w zawojowanym kraju dzikich ludzi buduje się małe fortece, t. zw. blokhauzy, osadza się tam Szkotów wraz ze stosem małpich konserw, odrutowuje się to wszystko kolczastym drutem i — czeka. Czas to najlepszy zdobywca. Hindus czy Kurd, Papuanin czy ot, Moskal, wkońcu cywilizuje się i na widok buldi z whiską wiernopoddańczo zegnie grzbiet. A wtedy Anglja „nastąpi” już ostatecznie i Armja Zbawienia zluzuje armję wojenną. ,

Zatem i tu zabrano się do budowania blokhauzów, tem bardziej, że nadchodziła sroga zima polarna z mrozami do 45° R.

Na owym odcinku angielskim Polacy posiadali osobny odcinek bojowy. Stosownie do rozkazu mieli oni wystawić dla siebie fortalicję swoją główną i, że tak powiem, sumptem własnym. Bo na ten cel prócz siekier, gwoździ i szpuli drutu kolczastego, nie dostali nic.

Do pracy synowie Albionu zabrali się po angielsku; Polacy uwzięli się na nią po polsku, chociaż na razie bynajmniej się tak nie zdawało. Bo i żołnierz był różny.

Bataljony szkockie (nawerbowane zresztą wyłącznie wśród londyńskiej nędzy) — jako młoda armja lądowa, złożona z niezaradnych mieszczuchów — przystąpiły do rzeczy z dziwnem nabożeństwem. Pseudo - szkoci zdobyli się wprawdzie na ścięcie kloców jodłowych i zwleczenie ich do kupy, lecz wpadli potem w głęboką angielską zadumę. Usiedli na zgromadzonem drzewie i zakurzyli fajki, nie wiedząc z ja-

---

1) Autentyczne.

kiej strony ugryźć stężałe od mrozu na miedź bierwiona, aby się wybudował tradycyjny blokhauz.

Oddział polski — jak ów kot Kiplinga, co to chodził zawsze swojemi drogami — i w tym wypadku poszedł swoją, polską drogą. W rano, przeznaczone do rozpoczęcia robót, na zaśnieżonym placu, gdzie miał stanąć polski blokhauz, do późna nie było żywej duszy. Bowiem wszyscy mieli dużo do roboty gdzie indziej. Jedni wysypiali się snem sprawiedliwych na piętnastu „wyfasowanych" u Anglików kocach. Inni przegrywali do kolegów rację rumu, nieraz tę, która wypadła do pobrania dopiero za rok. Inni znów, w wiosce, gdzie oddział miał leże, wypacali bohaterską duszę przed samowarem, pijąc dwudziestą szklankę „czaju" w towarzystwie brodatych starowierów [1]) i hożych starowierówien. Niewiastom nasi chłopcy prawili siarczyste komplementy, za co one grzecznych kawalerów pieszczotliwie kuksały pod żebro bynajmniej nie lekką piąstką.

Ale tylko na pozór niby się nic nie robiło, bo, jak zobaczymy, zrobiło się więcej i rychlej od pracowitych i myślących Szkotów. Żołnierz, powiedziałem, był od angielskiego różny. Oddział w jednej połowie składał się z wąsatych wiarusów, którzy w ciągu wielkiej wojny kolejno jedli chleb z pieca wielu europejskich armij; zaś w drugiej połowie — ze skautów, młodziaków zapatrzonych w starszych towarzyszów broni, jak w tęczę. Od czasu wojen napoleońskich świat nie widział takiego żołnierza. Oczywiście dowódca tej kochanej bandy musiał górować zaletami wojskowemi nad garścią swych podkomendnych. Górował przedewszystkiem pomysłowością. Mawiał, że głowa polska jest od tego, aby myślała.

Wytrawny żołnierz, kiedy go przyciśnie potrzeba, umie kopać się w ziemi, jak najpracowitszy kret. Jednak od tej kreciej przyjemności naturalniejsze swe zajęcie: leżeć do góry brzuchem i prawić duby smalone, co ślina na język przyniesie. Dowódca szanował to uświęcone przez zwyczaj próżniactwo swych żołnierzy. „Polska głowa" pomyślała i wymyśliła.

Skutek myślenia był taki. Czterej ex-saperzy (oddziałek miał przedstawicieli wszelkiej broni, od piechoty do lotnictwa) pod wodzą sierżanta Hurmy zostali tego rana wysłani do sąsiedniej wioski. Do sąsiedniej — przez politykę. Tam w sposób trochę za obcesowy zmobilizowali wieśniaków i co młodsze ich połowice. Zmobilizowanym kazano zabrać siekiery i łopaty. Po drodze na plac roboty rozebrano do ostatniego zrębu jedną z wioskowych „bań" [2]), pomimo piskliwego protestu kąpiących się w niej tuziemek. Poczem procesja chłopska, objuczona belkami w ten sposób zdobytemi, pobrnęła przez zaspy śnieżne na linję bojową. I tam dopiero zawrzała robota!

Śnieg z pod łopat wyleciał w powietrze, jak puch z rozprutej poduszki; w ślad za śniegiem furknęły czarne grudki zmarzłego bagna. Chłopi pracowali z taką gorączką, jak straż ogniowa, kiedy umiejscawia pożar. Charakterystyczne nawoływania, któremi oni podjudzali się nawzajem do pośpiechu, to pożarowe wrażenie jeszcze potęgowały. Zresztą pośpiech był tu na miejscu. Bo chociaż czterej kierujący budową „biełyje orły" zdawali się być w nastroju żartobliwym, to jednak żartobliwość ta wyjawiała się tylko w stosunku do niewiast. Naogół zaś byli więcej milczący, niż ugrzecznieni, a z oczu patrzało im — na serjo. Zanim spadł zmierzch — co w tamtym kraju bywa zimą o pierwszej po południu — na pododcinku polskim stał już blokhauz, jakiego Wielka Brytanja ani jej kolonje nie pamiętały od wieków. Budowla, spękacona ziemnym obsypem, wznosiła się jak kurhan, pośród zielonego pierścienia kołków, gęsto zaprzędzonych włochatym drutem kolczastym. Zdaleka czerniało to na śniegu, jak olbrzymi opasły pająk, co się rozsiadł i czyha w otoczeniu grubo zakopanej pajęczyny. Z tego pająka na zimowe powietrze coś ulatywało, jak siny oddech. To w blokhauzie palił się już piec i dymił jak komin fabryczny. „Biełyje orły" smażyli na ognisku upolowaną gęś dziką i również upolowane, ale swojskie prosię. Chłopki wykończając wnętrze budowli, przyrządzały dla wojaków nieodzowny czaj. Zjawiła się pękata butla z rumem. Udobruchany pisk kobiecy zawierał w sobie tyle radości życia, że przed jej opisaniem łamię pióro.

Tymczasem dowódca frontu, colonel sir John Humbug, brnął po pas w śniegu, wspierając się na nieodłączonym kiju i postękując od reumatyzmu. Szedł na pododcinek Polaków, aby ich zbesztać. Bowiem doniesiono mu, żePolacy względem ufortyfikowania nic nie robią. Gdy zdaleka na śnieżnem polu ujrzał tak wspaniały blokhauz, przypisał go dziełu rąk angielskich. Nawet w Transwaalu, podczas wojny z Burami, takich nie budowano! Więc się uradował, układając sobie w myśli, że oto nareszcie teraz pouczy tych zarozumiałych polishmanów, którzy w pełnieniu służby zdawali się dotąd nie mieć żadnej pięty achillesowej.

— Może oni są i dobrzy w polu, ale gdy dojdzie do wojny cywilizowanej, to zaraz wyłazi z nich ta słowiańska improduktywność — pomyślał sir Humbug i wełniane jegiery wzdęła mu duma, płynąca z poczucia, że jest synem wielkiej i twórczej rasy Anglosasów.

Sierżant Hurma zobaczył go zdala i w tejże chwili wystawił posterunek, poleciwszy mu zrobić przed colonel'em, gdy ten przyjdzie, honory bronią. Sir Humbug, gdy po zbliżeniu się ujrzał, że na czapce żołnierza, prezentującego karabin, świeci się ów dziwny ptaszek jednogłowy, oczom własnym nie chciał uwierzyć. Aż spotniały mu ze zdziwienia okulary. Widząc, że niema tu co robić, starannie przetarł szkła, postał, pomyślał i poszedł do pracujących Anglików.

Jedni z nich szczerbiącemi się siekierami ślamazarnie ciukali po drzewie zamarzniętem i przez to do

---

1) Sekta religijna w Rosji.

2) Rodzaj łaźni, budowanych osobno od chałupy.

urąbania niepodatnem, jak kamień. Inni zgrabiałemi od zimna rękami naciągali kolczasty drut na kolki, co moment wywracające się, bo bylejak wetknięte w grunt. Jednostajne „all right" rozbrzmiewało jakoś żałośnie. Nieborakom było dotkliwie zimno i strasznie tęskno wśród okrutnych śniegów — do ładnej mgły angielskiej, a wśród tych bagien i borów — do rodzimego krajobrazu, co wystrzyżony jest i wyszosowany, jak jeden wielki skwer. Smutny widok dawały te dzieci wielkomiejskie, rzucone na pastwę własnej niezdarności. Nadchodził już wieczór. 25-stopniowy mróz tężał jeszcze i niedołężnych budowniczych chwytał za zdrętwiałe palce, jak rozpalonemi obcęgami. A blokhauzy mogły być skończone dopiero kiedyś. Tymczasem placówki musiały spędzić polarną noc na śniegu. W tę noc wielkiej i twórczej rasie robiło się hauzu dla upiększenia i wygody. Blokhauz stał się umiłowanem dzieckiem Oddziału, jego chlubą i dumą. Mawiano: „nasz blokhauz" i to „nasz" brzmiało tak wspaniale, jak w ustach Francuza „nasz Verdun". Wkońcu, gdy już nic więcej do tej doskonałości nie można było dodać, wypłynęło nader poważne zagadnienie: jakiem ochrzcić mianem tę groźną fortecę?

Wynikły stąd gorące dyskusje, wobec których bledną spory sejmowe prawicy i lewicy, dyskutujących, naprzykład, o parcelacji pańskich gruntów.

W zacietrzewieniu ogólnem doszło nawet do generalnych bójek. Najpoważniejsza z nich wybuchnęła między żywiołem konserwatywnym, proponującym nazwę „Wawel", a grupą radykalistów, upierających się przy „Republice". Drudzy zarzucali pierwszym tendencje monarchistyczne, dowodząc, że Wawel był



Jasełka Kresowe. Anna Römerowa.

jeszcze smutniej, gdy w polskim blokhauzie widzieli światło i słyszeli stamtąd całogardłowy śpiew, w którym wciąż i wciąż się powtarzał śmieszący angielskie ucho nawrót:

„Hopaj — siupaj — dana"!

Wciągu następnych dni dyżurujący w blokhauzie żołnierze skracali sobie czas, wymyślając coraz to nowe ulepszenia. Każdy coś zmajstrował, wystrugał, wbił swój gwóźdź, odrobił własny kołek. Któryś z legjonistów, mistrz od stosowanej sztuki, ozdobił ogładzone heblem ściany wycinankami zakopiańskiemi. Inny artysta, upodobań snać weselszych, podczas długiej nocy służbowej wyrysował kredkami na drzewie ścian takie freski, że gdy je zobaczył komendant, to nie mógł zachować należytej powagi i parsknął śmiechem. Jednak to rysownicze arcydzieło, godne stanąć obok literackich fresków brantomowskich „Żywotów pań swawolnych", rozkazał komendant wyskrobać niezwłocznie ordynarnym kozikiem. Zaś artysta malował potem freski z rzędu przez trzy dni, ale w kozie. Co tylko udało się gdziekolwiek „zwędzić", znoszono do blokgniazdem tyranów i jest ich sarkofagiem. Na to „monarchiści" odmawiali oponentom czci, wiary i patrjotyzmu. Aż komendant Oddziału, Warszawianin z pochodzenia, znudziwszy sobie te poswarki, w rozkazie dziennym ochrzcił fortalicję „Blokhauzem pod Syreną" i tymże artykułem rozkazu zaproponował odsiadującemu w kozie artyście wesołkowi, aby wymalował „nie szczędząc talentu" na drewnianej tarczy odpowiednią pół-niewiastę i pół-rybę.

Zdolny synalek Muz z zadania wywiązał się znakomicie. Syrenie wymalował to nawet, czego, jako żywo, nigdy żadna syrena, o ile ufać mitologji szkolnej, nie miała. W dzieło swe włożył tyle zapału, że zimnokrwiści Anglicy, kupą się potem gapiący na tarczę, zawieszoną nade drzwiami polskiego blokhauzu, niespokojnie przestępowali z nogi na nogę, a co żywiołowszym — ciekła z kątów ust ślina.

Czes płynął, jak wartka rzeka. Ani się obejrzano, jak nadszedł 24-ty grudnia.

W dniu wigilijnym służba w blokhauzie wypadła sierżantowi Hurmie z jego sekcją. Sekcja Hurmy w Oddziale była znana z przezwiska „sekcji uprzykrzo-

nych inteligentów". Składała się bowiem z owego mistrza od sztuki stosowanej, malarza od syreny i jeszcze ze czterech skautów, z których: trzej pisywali kilometrowe wiersze, a czwarty — dramaty, nie krótsze od siedmioaktowych. Wszyscy zaś odczytywaniem swych utworów zatruwali Oddziałowi życie.

O godzinie, wyznaczonej do zmiany załogi blokhauzu, Hurma z tą sympatyczną szóstką leguńską wyruszył na linję. Ciągnęli za sobą sanki, naładowane stosem koców i futer tudzież — jadłem wigilijnem. Na czele pochodu szedł sam pan sierżant, niosąc oburącz z celebracyjną powagą a uwagą potężny gąsior gliniany, w którym chlupotał rum z miłą wytrawnemu uchu melodyjnością nienapoczętej pełni w naczyniu.

Było polarne południe zimowe. Słońce znajdowało się u szczytu tego małego półkola, które zakreślało się teraz co dnia tuż nad samym horyzontem, zatraconym w śniegach. Dokoła bielała pustynie śnieżna. Gdzieś na linji widnokręgu bór, malejący wskutek oddalenia, czerniał, jak wąska tasiemka aksamitu. Na dookolnym pałacu różowiał i fiolecił się od niskiego światła słonecznego śnieg, gruby na parę łokci. Odcinały się na nim czarno-zielone wierzchołki świerków, zawianych prawie do szczytu. Tam i sam biegł i krzyżował się wklęsły ślad stóp ludzi, którzy tędy przebrnęli. Te podwójne łańcuszki podeptań nieskazitelnego śniegu wzbudzały przelotną smętność w refksyjnych duszach „inteligentnej sekcji"; gdy przeszła, do śladów już istniejących przybyły nowe, takie same, ale jeszcze więcej sieroce jakieś.

Za chwilę wojacy uplacowali się w blokhauzie i ogarnął ich zadumany smutek, mający w sobie coś uroczystego. Przecie była dziś wigilja. Myśli z niesfornych głów pomknęły daleko, daleko przez zaśnieżony obszar tysięcy mil, jak jaskółki rozświegotane tkliwie. W dniu powszednim mieli czas zajęty ciężką służbą, lub beztroskiem próżniactwem żołnierskiem i nie zabijali sobie głowy byle czem. Wieści z kraju brakło. W listopadzie dowiedzieli się wprawdzie z komunikatów angielskich, że Niemcy wojnę przegrali, ale o Polsce nie było nic. Co więcej, chodziły bajędy o wielkiej anarchji i głodzie w kraju. Więc chłopcy ścisnęli zęby na łacniejsze wytrwanie, splunęli w garść, aby lepiej wyobracać karabinem, i robili dalej to, co dobremu żołnierzowi przystoi: nie mędrkować, lecz strzelać i kłuć, kogo rozkażą. Czasami wydawało się im, że zaborczości angielskiej wysługują się po próżnicy. Hurma, były żołnierz pruski, pouczał swoją „inteligencję", gdy się ta rozpolitykowała:

— Co za austrjackie gadanie. Przychodzi komando baczność, to jest baczność. Od myślenia — komendant, a ty — żebyś nie myślał a słuchał. Jak to skapujesz tym swoim inteligentnym łbem, to powiem, żeś nie rekrut, a żołnierz całą gębą.

Należy zaznaczyć, że „rekruty", również jak ich sierżant, byli wszyscy udekorowani najwyższym stopniem angielskiego „military medal'u", nie mówiąc o „mentolach" austrjackich, którymi się nie chwalono, bo uchodziło to za zły ton. Lecz Hurma miał swe własne pojęcie o wojskowości.

Teraz, gdy miny jego podkomendnych wyglądały poważniej, niż zwykle, odbijał od nich chłopskim humorem i tą podufałością w sobie, która cechuje starych żołnierzy. Gdy inteligenci pod wpływem chwili tradycyjnej pogrążyli się w cichem roztęsknieniu, czynna natura Hurmy wyjawiła się w innym kierunku. Hurma rozumował: przychodzi Wigilja, to jest Wigilja i zachować ją trzeba, jak należy. Więc wszystko ma się odbyć pod biegunem, tak samo jak pod Inowrocławiem, jak u polskiego chłopa odbywało się od wieków.

Tedy zabrał się do rozładowania przywiezionych sań. Sam pracował, inteligentów poganiał. Rozkazy wygrzmiewał, jak kapitan statku, mówiący z tuby żeglarskiej. A urządzenie blokhauzu na święto odprawował z taką powagą a godnością, jak co najmniej komendant flagmańskiego pancernika, gdy rzuca ze swego pomostu krótkie zlecenia, wlot przez majtków wykonywane.

Wnet stół nakryto sztuką namiotu. Nie omieszkano pod improwizowany obrus nasłać siana. W kącie lokalu ustawiono snopek żytniej słomy, zdradzający jednak, że go wydarto po barbarzyńsku z nowego poszycia cudzej strzechy. Na tak okrytym stole porządnie rozłożono pożyczone od tubylców talerze i sztućce. Trochę tylko dziwnie wyglądał ten wigilijny stół polskiego żołnierza: w pośrodku nakryć stał kulomiot na sprytnie rozstawionych nóżkach rusztowania firmy Wickers et C⁰, niby potworny konik polny, wysuwający na dwór przez strzelnicę jadowity pyszczek lufy z muszką na końcu. Z boku trajkotliwego owadu zwieszała się, niby pięknie fryzowany pas, wstęga nabojów, lśniąca niklem i mosiądzem.

Po dokonaniu tych urządzeń, Hurma zlustrował rzecz jednym rzutem oka i coś takiego sobie przypomniał, aż się w ręką w czoło uderzył. Poszedł do wioski, poleciwszy na odchodnem, aby czekano go z wieczerzą, a on „przed pierwszą gwiazdą" wróci.

O zmierzchu powrócił, niosąc pieczołowicie pod pachą coś zawiniętego w ręcznik.

— Te, inteligent, rozstąp się, kiej sierżant idzie! upominał malarza od Syreny, robiącego na progu fachowe spostrzeżenia, co do gam fioletu, który wieczorem zakwitł na śniegu długiemi strugami, jak grządki astrów barwy lila.

Hurma, przystąpiwszy do stołu, jął odwijać owo coś. Oczom zaciekawionych żołnierzy ukazał się omszały starością obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zatulonej z Dzieciątkiem w metalowe „rizy" w stylu bizantyjskiego prawosławia. Lecz pdwójna blizna, malwana na Jej obliczu, świadczyła o przynależności do innego Kościoła.

— Wzionem to u popa tych brodaczów — pojaśnił Hurma — Gadają, że święty jakiś obraz i cuda

rozliczne okazywał. Hale! Jeszczeby cudów nie było — toż nasza polska Matka Boska!

— Pan sierżant, widzę, chce w blokhauzie mieć kaplicę, gdziebyśmy godzinki przez noc śpiewali — ozwał się z przekąsem malarz od Syreny, którego dotknęło owo „rozstąp się".

— Nie wiesz zgoła, co gadasz, panie malijarz — odrzekł Hurma. Otbyś świętych malował, zamiast smarować po ścianach te golaski, na które janglik zęby szczyrzy i poślinia się, a grzeszny katolik, gdy je uźrzy, to drepta w miejscu, jak cietrzew w zalotach.

— To się rozumie, — dodał — że jutro obraz odniosę, bobyście go strefnili waszem tureckiem gadaniem. Ale wy, rekruty, nie wiecie tego, co wiem ja. Bo, chociem-ta w akademijach waszych nie uczony, ale swoje pomiarkowanie mam. Jeszcze, kaj się uczyłem na książce, w szkole we Wrześni — ojcowizna tam moja — tom się dowiedział, że dawnym czasem polskie wojsko na swoich chorągwiach miało obraz Częstochowskiej. I przez to samo tłukło szwabów na potęgę. I nie dziw. Nasza Maryja wojenna to Pani. Popatrz jeden z drugim: po twarzy siablą je pocięta, jak gemajny, co się do trenu w czas formarszu nie chował. Czy wam opowiadałem, jagem ze szwabskiego regimontu wiał do tych bagnisk przez matuszkę Rosję?

— Opowiadał pan sierżant, opowiadał — w jednomyślnym pośpiechu zawołali inteligenci.

— To jeszcze raz posłuchajcie. Złapali mie, psiawiary, w tej tam ich Moskwie. Po „ichnemu" nie umiałem ani słowa. Więcem z jejnymi komisarzami szwargotał po niemiecku, aby myśleli, że ja rodowity szwab. Komisarze wymiarkowali sobie, że nic, ino muszę być ważny niemiecki szpiegun. Ciągali mie pod widelcami aż do samego Trockiego, który je obrzezany Żyd i króluje na bardzo fajnym, całusieńkobiałym burgu, co Kreml się nazywa. Jego żydowski majestat pogadał ze mną i myśli, że szwab. Podaje mi rękę. Kameradem nazywa. Idź, powiada wolnyś jest. Będziesz robił u siebie na faterlandzie rewolucję. Takich potrzeba mi więcej, powiada. I do ręki wciska carskie papierki; była to ładna kupa. Pieniądze wzionem, ale że kameradem mnie nazwał, parch jeden, tom się tak za to obraził, że mu ręki umknąłem, choć mi swoją na dowidzenia wyciągał.

— Wiemy już, wiemy! — zawołali chórem słuchacze.

— Cichojta, rekruty, kiedy sierżant gada! — zgromił ich Hurma i groźnie poruszył wiechciwiem płowych wąsów. — To wszystko mówię względem Matki Boskiej.

— Jak mnie puścili swobodnie i jeszcze dali na drogę glajt z czerwoną pieczęcią, w której je gwiazda, akuratnie ta sama, co w warszawskich bożnicach na żydowskim ołtarzu, — tom sobie poszedł szpaciren po tym białym burgu, gdzie Żyd Trocki mieszka. Aż tu patrzę — niby kaplica. Moskal, stojący przy drzwiach na warcie, pyta, czy ja chcę do czasowni, tak się u nich kaplica nazywa. Chce, powiadam. Wchodzę, rozglądam się. Pusto, prócz mnie nikogo niema. Aż, gdy spojrzne do góry — Jezusie, Maryjo! Pod sufitem chorągwie wiszą. A na każdej — nasz biały orzeł z jednej strony płótniska srebrem je frymuśnie wyścibany, a z drugiej — obraz Częstochowskiej. Coś tam jeszcze stało składnie wypisane, ale nie pamiętam. Aż zatknęło mi grdykę. Jak się nie rypnę na kolana! I poczonem się modlić, choć dotela nie byłem w Boga bardzo wierzący. Z niedomkniętych drzwiów ciąg wiatru chodził po kaplicy. I od tego chorągwie szeleściły, akurat jak to one gaworzą z letkim wiaterkiem w procesji na Boże Ciało. A ja słyszał wyraźnie (jakby się mnie przyśniło), co te choręgwie gadały. — „Nie bojaj się ty, sierżancie Hurmo — tak mie zagodoły — gdzie jest Najświętsza Panienka ,tam polskiemu żołnierzowi na szyję sznur się nie ukręci"!

— Śmiej się, śmiej, panie malijarz. A ja, twój sierżant, to ci mówię, że gdybyś nie był po katolicku ochrzczony Polak, tobyś w tej zatraconej moskiewszczyźnie zginął, jak mucha w ukropie. Aleś zdrów i cały, ile że cie nasza Orędowniczka Swoją sukienką od złej przygody osłaniała. Bo myśli Ona sobie: „chocta z tego malijarza wielki drań, ale zawszeć to Polak i katolickie dziecko". Lotego ci radze: przestań malować po ścianach gołe zbereżeństwa, a weź się do świętych pańskich.

Wtem posterunek, wystawiony na zewnątrz, doniósł, że na niebie zalśniła już wyczekiwana „pierwsza gwiazda". Wówczas Hurma wziął ze stołu talerz, w którym były nakruszone białe galety angielskie. Zebrał dokoła siebie podkomendnych, z biskupim majestatem przeżegnał pszenne okruchy i przełamał się niemi, jak opłatkiem, ze swoją sekcją. Spoważnieli wszyscy; nawet malarz od Syreny czynił zadość tradycji z widocznem wzruszeniem. Poczem zasiedli do stołu, udekorowanego kulomiotem. Spożyto barszcz z „uszkami", osobiście ugotowany przez Hurmę. Zabrano się do pieczonych i faszerowanych ryb z gatunków miejscowych. O tych rybach Hurma mawiał, że ani jedna nie nazywa się po ludzku; istotnie nazwy brzmiały po samojedzku.

Za stołem długi czas panowało milczenie. Nie wieczerza to była, lecz raczej msza dusz polskich, wpół tylko obecnych tam, gdzie ciało. Ktoby to widział, nie dostrzegłby nic, prócz pewnego skupienia na twarzach biesiadników. Ale wszystkie piersi rozpierała smętna wielkość roztęsknionego tułactwa w imię Tej, co nie zginęła, a zmartwychwstać miała. Można było rzec słowami poety, że ich duch „po słupie jasności księżycowej odchodził na południe"...

Przy któremś daniu Hurma dał hasło do picia, umoczywszy wiechcie wąsów w kubku z rumem. Nastrój od alkoholu się rozchwiał. Rozwiązały się języki. Rozmowa była niejako echem poprzedzającej zadumy.

— Ciekawym, kiedy się to skończy? — zaczął jeden z inteligentów.

— Co niby?

— To taczanie naszemi rękami bolszewików, jak bałwanów po śniegu.

— Miła zabawka. Ale już ręce od niej mdleją. Mogliby nas użyć do poważniejszej roboty. Jechaliśmy przecie do Francji.

— A tu wysługujemy się Anglikom za ten podły rum i marynowaną małpę.

— Dajmy na to — za Polskę.

— Przed stu laty wysługiwali się nasi na San Domingo Francuzom w ten sam deseń.

— A my dziś — Anglikom na Murmanie. Z deszczu pod rynnę. Z pieca na lód.

— Wszystko dla Polski.

— Znamy to „dla Polski". Tak samo, psiakrew, nabijają nas w karafkę, jak ubóstwiany Napoleon.

— To też zawsze wam mówię, że Polak głupi nawet i po szkodzie.

— Swoją drogą czas nam do Francji, do Hallera.

— A czegoś we Francji nie widział. Tam już ludziska pogodzili się, bo za dużo nabili sobie guzów. Tu przynajmniej od czasu do czasu poszczęści się ukatrupić jakiego komunistę, co całemu światu wychodzi na zdrowie, a nam na pożytek duszy.

Na to sierżant Hurma:

— O, do tej Francji, niech ino przyńdzie befel, to w dyrdy pochybam. Mam tama swój jenteres.

— Jaki?

— Pójde pod ich cholerny Werdun, żeby go siarczyste, najjaśniejsze! I powiem: panowie Francuzy, ta oddajta mnie te trzy paluchy, cośta mie z lewej łapy utrącili, kiedy ja we szwabskiem glicie zębami gryz wasz zatracony fort Dumon.

W trakcie gawędy dał się słyszeć z nadworu okrzyk wartownika: „Stój! kto idzie?", potem — chrzęst kroków na śniegu. I do blokhauzu wszedł komendant Oddziału.

Wyglądał jak człowiek zwarjowany, lub w najlepszym razie — spity, jak bela. Na twarzy Hurmy odmalowało się zgorszenie; bolał go w skrytości każdy nietakt zwierzchników - oficerów. Wprawdzie chodziły między żołnierzami legendy, iż komendant lubi „zalać robaka do poduszki", lecz że nikt w oddziale nie był abstynentem, więc nikogo ta legenda nie gorszyła. Ale obecna pora, nawet przy święcie, była stanowczo za wczesna, by wyglądać dotyla zdezelowanym.

Komendant, po przebrnięciu zasp śnieżnych, jakiś czas łapał dech. Gdy jako tako odsapnął, stanął w postawę, która jego podkomendnym była dobrze znaną, a zwiastowała dłuższą przemowę. Krasomówstwo było słabą stroną komendanta. W przemówieniach zawsze go ponosił temperament gołowąsego kapitana Jeśli zaczynał od pochwały, kończył na wymyślaniach, od których uszy więdły. Jeżeli wznosił na czyje zdrowie toast, to wieńczył go tyradą o wiecznym odpoczynku. Ten rys charakteru dostał się na języki żołnierskie i szelmowski krytycyzm względem zwierzchników, właściwy polskiemu żołnierzowi, płodził tak bajeczne parodje tych przemówień, że boki zrywano ze śmiechu, aż do nowej okazji.

To też malarz od Syreny, generalny odtwórca mów komendanta, trącił sąsiada pięścią w bok i rzekł:

— Uwaga. Zaraz dogada się do stworzenia świata.

Komendant odchrząknął i otworzył już usta w sposób, będący zapowiedzią nie bylejak utoczonego okresu... Wtem — machnął ręką i głęboko wzruszonym głosem zawołał:

— At, co tu gadać! Dajcie, moi chłopcy, lepiej pyska! Tylko co otrzymałem wiadomość. Polska jest wolna i wielka. Wszystko, co wiemy — łgarstwo!

I chwytając żołnierzy po kolei w ramiona, sypał w międzychwilach słowami:

— Komendant Piłsudski w Warszawie. — Jest rząd. — Sztubacy porozbrajali Niemców w całej Kongresówce. — Armja maszeruje na Wilno. — Poznań nasz. — Muśnicki grzmoci szwabów. — Polska będzie od morza do morza! — Trzymajcie mnie, bo zwarjuję!

I zwarjował — o ile łzy, ciurkiem płynące po twarzy żołnierza, są szaleństwem. Za przykładem dowódcy powarjowali żołnierze. Szarże w zgromadzeniu znikły. Ściskano się i całowano bez względu na nie. Nie gorszyło to nawet Hurmy, który, cieknąc jak fontanna, wycierał wąsiskami wilgoć z policzków „wielkiego drania malijarza".

I z gardzieli, założonych szlochem szczęścia, wyrwała się — razem u wszystkich — pieśń, zrodzona w godzinie najgłębszej niedoli Narodu. Jej znana melodja jest posępna, jak psalm nieszporny. Lecz pieśń, oskrzydlona bezdennym zapałem młodych dusz, brzmiała fanfarami, jakich w sobie nie ma nawet płomienna Marsyljanka. A słowa:

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!,,

rozległy się pełnią takiego triumfu a zarazem groźby niezłomnej, że zdało się, iż po nich nastąpi coś wspaniałego, — że tu, w tym blokhauzie, stanie się naraz jakiś widomy znak, cud — tyle potęgi ducha zalewało śpiew i — wyszarpnęło się zeń, jak z pochwy wylata nagi jasny miecz.

W tym śpiewie zbłąkani pod obcy biegun tułacze wołali z całej piersi na cześć Polski, co im przysłała o sobie szczęsną wieść: Tą „Rotą" żołnierze dobrowolni, swej Ojczyźnie urzędowo nie zaprzysiężeni, wszystką duszą zaprzysięgali się teraz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na śmierć, na życie, na dalszy tułaczy los.

Kiedy byli jeszcze, jak ów bezpański pies, o którego krzywdę nikt się nie upomni, — każdemu, kto chciał ich znieważyć, pokazywali wilcze kły, a na widok ręki chcącej pogłaskać, pogardliwie się usuwali.

Teraz, kiedy było wiadomo, że są żołnierzami Państwa, że nie legjonem już są, lecz wojskiem, armją — wypełniły się rogate dusze pychą, dumą, uczuciem, któremu brak wprost nazwy.

Przedtem gardzili możnymi sprzymierzeńcami, jako „wojskiem, które jest „cywil - bandą", jednak czuli respekt i zazdrość dla ich państwowości, bo sami jej nie posiadali. Lecz teraz cała Anglja, z jej Indjami i Australją, z jej wszystkiemi oceanami, na których słońce nigdy nie zachodzi, wydała się nowokreowanym obywatelom - żołnierzom, *swojej własnej* Rzeczypospolitej jakiemś niezmiernie wielkiem... ubóstwem, nędzą śmiechu wartą.

Słowem powarjowali. I warjowali tej nocy do rana, śpiewając, krzycząc, śmiejąc się, płacząc, tańcząc, tarzając się po śniegu, przepijając do malowanej Syreny, chodząc po blokhauzie i dokoła niego na rękach, na głowach...

Była to w ich życiu — Wigilja najpiękniejsza. I najpiękniejszą zostanie, bo się wielki cud w życiu nie powtarza.



Stary kościółek. Stanisław Czajkowski.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI.

Wilja nieobecnych.

Prastarym obyczajem w Polsce podczas Wilji
Jest miejsce dla zamorskich i zagórskich gości,
Dla tych, co na wieczerzę bratnią nie przybyli,
Wstrzymani przez gór zwały, lub mórz nawałności.

Gdy z nieba płatki śniegu lecą jak opłatki,
Gdy mróz na oknach białe zasadza choiny,
Niechaj każdy dom polski wspomni sercem matki
Nieobecne, spóźnione, zabłąkane syny...

Gdy w snopku wigilijnym kłos o kłos zadzwoni,
Ilekroć pod obrusem zaszeleści siano,
Baczmy na puste miejsce, gdzie mieli siąść — ONI,
Baczmy, by nieobecnych nie zaniedbywano!

Obejdzie się ich miejsce bez potraw dwunastu,
Nie zmieniajmy półmisków przed niem, ni talerzy,
Obejdzie się bez szumnych win i bez toastów,
Tylko przed pustem miejscem — niech opłatek leży.

Czuwajmy, bo dokładnie nie wiemy godziny
Gdy zza mórz, co nas dzielą, z błędnego bezdroża,
Niewidzialnie zawita do nas w odwiedziny
Ktoś z braci, których ku nam prowadzi Moc Boża.

Snać są zgłodniali, skoro zasiedli do stołu,
Niech nikt z nas nie zagląda w dusze gościom-
[duchom:
Ugośćmy ich opłatków białych wiązką suchą,
Bo głód dusz ludzkich syci — tylko chleb Aniołów.

POLSKIE ZWYCZAJE LUDOWE.

BOŻE NARODZENIE.



„A teraz niechaj każdy serce swoje
Rozdzieli w piersiach swoich jak opłatek"...

Bo oto nadeszły te uroczyste, miłe i radosne święta Bożego Narodzenia, które w Polsce łączą się z takiem mnóstwem uroczystych tradycyj i obrzędów. Więc najpierw „Roraty" czyli nabożeństwo, które przez cały Adwent [1]) odbywa się o świcie we wszystkich polskich kościołach, zarówno na wsi jak w mieście. Polska jest jedynym krajem, gdzie odprawiają się Roraty na cześć Matki Boskiej, a nazywają się one tak, z powodu początkowych słów, łacińskich, od których się ta msza poranna zaczyna: „Rorate Coeli, supśccie rosę niebiosa"... Jeszcze wcześniej niż krótki dzień zimowy wstają pobożni i śpieszą do świątyń pańskich, aby w modlitwie rozpamiętywać przyjście Zbawiciela... Pamiętacie te mroźne zimowe ranki i mroczny kościółek oświecony małymi świeczkami? A jeśli sięgniemy dawnych czasów to wśród tych co przyszli na nabożeństwo, odnajdziemy i Króla Jegomości, który zapala najwyższą świecę na siedmioramiennym świeczniku i mówi: „Otom gotów na Sąd Boży", stwierdzając tem czystość swego serca i wierność Kościołowi. Po królu świecę zapalali z kolei biskup, rycerz, mieszczanin, ziemianin a nakoniec oracz i tak wszystkie stany łączyły się w czci dla Marji.

Adwent zleci jak z bicza trzasnął i już Wigilja za pasem. A Wigilja to właśnie najuroczystsze Święto. Czasem w dzień ten mróz ściśnie, czasem słota się psoci, a wszystko to zależy od tego jaka pogoda była na Świętą Barbarę, bo jak powiada przysłowie „gdy na świętą Barbarę gęś chodzi po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie", i naodwrót. Ale niezależnie od tego czy w dzień Wigilji był śnieg czy mróz czy słońce, nie jeden gospodarz do niedawna szedł w pole zasiewać trochę żyta, aby mu dobrze plonowało. Do dziś dnia zaś każdy myśliwy wychodzi w pole na pomyka, żeby mu się przez cały rok na polowaniu dobrze wiodło.

W domu zaś gospodynie roboty mają huk, aby dom pięknie ochędożyć, choinkę, czyli „drzewko" przybrać, wieczerzę wigilijną przygotować, do której wszyscy zasiędą, gdy pierwsza gwiazda zabłyśnie. Najpierw snopki czterech zbóż stawia się w cztery rogi izby. Potem stół się białym obrusem zaściele, pod obrus garstkę siana się włoży na pamiątkę stajenki Betlejemskiej. Na obrusie bochen chleba leży, „Żeby sobie Pan Jezus ukrajał jak chodzić będzie po kolędzie", a potem na talerzu opłatki. Opłatki zwykle organista soznosi po domach przed Świętami.

Gdy zmrok zapadnie światła błyskają w oknach domostw a w każdym domu rodzina zasiada do „Wilji". Najpierw gospodarz i gospodyni dzielą się opłatkiem z dziećmi i domownikami a potem wszyscy pospołu opłatkiem się dzielą i składają sobie życzenia „Dosiego Roku" i wszelkiej pomyślności. W takiej chwili każdy zapomina o urazach, każdy serdeczną myślą brata się zarówno z tymi, co są blisko, jak z tymi, z którymi jesteśmy rozdzieleni. A przy stole wigilijnym staropolskim obyczajem bywało zawsze jedno miejsce puste dla „Zagórskich albo i zamorskich gości". Nieraz zabłąkany w śnieżycy wędrowiec w ten sposób bywał zaproszony do wieczerzy.

Wincenty Pol w „Pieśni o domu naszym" pisze, że nawet trzy miejsca próżne były przy wigilijnym stole i w ten sposób to tłomaczy:

I trzy krzesła polskim strojem
Koło stołu stoją próżne,
I z opłatkiem każdy swoim
Idzie do nich spłacać dłużne.

I pokłada na talerzu
Anielskiego chleba kruchy;
Bo w tych krzesłach siedzą duchy,
Co z Ojczyzną są w przymierzu.

My ich widzim, oni siedzą,
Razem z nami tu za stołem,
Bo o dniu tym w sercu wiedzą
Więc go święcą z nami społem.

A co tam na tych dawnych wiljach potraw bywało, barszcz lub zupa migdałowa, różne ryby, pieczone smażone i gotowane, kapusta z grzybami, kluski z makiem i rozmaite przysmaki. Z tego dziś ogólnie barszcz postny się zachował, kapusta z grzybami,

---

[1]) Adwent, od łacińskiego słowa „Adwentus", przyjście, jest to post cztero tygodniowy, poprzedzający pamiątkę przyjścia Zbawiciela. O adwencie było takie staropolskie przysłowie: „Święta Katarzyna klucze zagubiła, święty Andrzej znalazł, skrzypki zamknął zaraz", co oznacza, że żadnych wesel ani zabaw w tym czasie się nie odprawia. W Polsce bardzo pilnie tego przestrzegano.



kluski z makiem, lub kutja, czyli pszenica ugotowana z makiem; ten przysmak głównie na naszych Kresach wschodnich jest lubiany. Po wilji zaś kolendy się chórem śpiewa, a mamy w Polsce bardzo piękne i liczne Kolendy, — niektóre z bardzo odległych wieków pochodzące.

Jak od morza aż do morza
Są posiane polskie łany,
Jak szeroko rosną zboża,
Tak szeroko śpiew ten znany,

W każdej chacie, w każdym dworze,
W każdym zamku i klasztorze
Grzmi po ziemi pieśń wesela,
I witają Zbawiciela — [1]).

Zwyczaj choinki czyli drzewka do nas z Zachodu się przedostał. Nie jest dokładnie stwierdzone co ma on przypominać. Dosyć że jest to wielka dla dzieci radość. Młodsze myślą że im je Aniołek przynosi. Starsze same sobie w szkołach lub w domu różne zabawki i cacka na ozdobę drzewka wycinają i wylepiają z papieru, tektury, skorupek jaj wydmuchanych, a ładniej taka choinka wygląda, niż obwieszona kupnemi świecidełkami. Prócz zabawek wiszą też na choince złocone i srebrzone jabłka i orzechy i jarzy się mnóstwo kolorowych świeczek.



Kolędnicy na Kresach.

Po wigilji, po choince małe dzieci spać się kładą, a starsi i młodzież przygotowują się do wyjścia na pasterkę. A choć czasem daleko iść lub jechać trzeba, jednak każdy ochoczo się wybiera. Ale najpierw w niektórych okolicach do bydlątek wpierw zachodzą i resztki jadła im z wilji dają aby i one wiedziały że to święto, a że to wół w stajence na Boskie dzieciątko chuchał, więc i krowom dnia tego trochę opłatka do gęby kładą. No i powiadają ludzie że o samym północku „wśród nocnej ciszy" gdy wybija nowa rocznica świętej Nocy, bydlęta dostają ludzkiego głosu i mówią ze sobą. A posłyszy ich ten co ma czyste serce. Wielu już słuchało, ale nikt dotąd nie posłyszał, i kto wie czy kiedy usłyszy.

Więc też nie czekając tej chwili idą ludzie do kościoła. O północy wychodzi ksiądz ze mszą, zwaną pasterką, lub po krótce Pasterką, na pamiątkę że pasterze gdy usłyszeli głos Anioła, „Wstańcie pasterze, Bóg się Wam rodzi", rzucili „trzody, stada" i pobiegli do stajenki, gdzie ujrzeli Maleńkiego, Jezusa Narodzonego Syna Bożego.

Na pamiątkę stajenki Betlejemskiej w każdym kościele urządzana bywa Szopka, czyli Jasełka. Ołtarz przedstawia szopę, w żłobku leży Pan Jezus, wokoło zaś stoją różne figurki przedstawiające Matkę Boską, świętego Józefa, pasterzów i Trzech Króli. Zwyczaj urządzania Jasełek jest bardzo dawny. Pierwszy zaczął Jasełki urządzać Święty Franciszek z Assyżu w grocie w XIII. wieku.

W Polsce oprócz tych Jasełek, które ustawiają w kościołach istnieje bardzo wiele przedstawień kolendowych, z których najbardziej rozpowszechnione są: szopka, jasełka żywa, które poprostu w niektórych okolicach nazywają „Herody", „Turoń" na Nowy Rok i „Gwiazdka" na Trzy Króle... Zazwyczaj chodzenie z szopką coraz bardziej zanika. Do niedawna jednak był on dość rozpowszechniony, a każda szopka, czy „krakowska", czy „góralska" czy „ruska", — miała swoje odrębne cechy. Był to mały drewniany domeczek o trzech wieżyczkach, służących na przenośny teatrzyk. Ustawiało się go na dwuch stołkach a ukryci z tyłu chłopcy poruszali laleczkami, czyli kukiełkami i śpiewali przytem piosenki, odgrywając w ten sposób różne scenki. Występował tam zawsze Krakowiak i Krakowianka, Góral i Góralka, cygan z niedźwiedziem, czarownica co masło robi, Pan Twardowski a głównym bohaterem był Herod, któremu śmierć głowę zcinała a djabeł brał na rogi, wołając „Ej Herodzie za twe zbytki, idź do piekła, boś ty brzydki".

Urządzanie jasełek z żywych osób jest dotąd w Polsce bardzo częste. Jasełka odgrywane są w szkołach i ochronach, zaś po wsiach i małych miasteczkach chodzą chłopcy od domu do domu i odgrywają jasełka a za to otrzymują kolendę, czyli podarki. Ubrani w papierowe korony i dosyć cudaczne stroje śpiewają kolendy i deklamują wiersze. Występuje tu zwykle Herod, dwaj generałowie, Anieli, Śmierć, Djabeł i Żyd. Przedstawienie kończy się ścięciem Heroda. Dzieci ze strachem patrzą na te zabawy, ale mimo to wielka w domu radość gdy takie „Herody" przychodzą. Cały dom się zbiega i ciekawie się przysłuchuje.

Inny ciekawy obrzęd to chodzenie z „Turo-

[1]) Wincenty Pol.

niem" czyli Kłapakiem. To widowisko urządzane bywa w Kieleckiem na Nowy Rok, a raczej w Sylwestra. Człowiek odziany w płachtę ma na głowie łeb dziwnego zwierzęcia zrobionego z drzewa i obciągniętego skórkami zajęczemi. Ten przedstawia „Turonia", wilji obwiązywać drzewa w sadzie i bili je za to że nie chciały rodzić. Potem zaś cieszyli się że poskutkowało, a działo się to poprostu dlatego, że drzewo w tym roku znowu miało lepiej odrodzić

W wilje w rozmaity sposób wróżą czy rok będzie



Szopka ludowa. fot. Photoplat.

kłapie szczękami, skacze, a świta jego śpiewa kolendy, za co potem otrzymuje poczęstunek. Dzieci Turoniowi do pyska rzucają jabłka i orzechy.

Nareszcie na Trzy Króle o zmroku biegają chłopcy mali od domu do domu i noszą na kiju ładnie wylepioną na sicie gwiazdę z kolorowego papieru. W środku koła pali się świeczka, tak że gwiazda ładnie w nocy świeci.

Nie mówiliśmy jeszcze o wróżbach i przysłowiach. A i tych jest sporo. Ogólnie znane w Polsce było przysłowie: „Na święty Szczepan, każdy sobie pan", a pochodzi to stąd, że w ten dzień, (drugi dzień świąt Bożego Narodzenia), gospodarze godzili służbę. W tym dniu również gospodarze mieli zwyczaj słomą, z tych snopków, co stały w kącie podczas



Przez okienko. fot. Photoplat.

dobry, np. wrzucają ziarno zdoża do wody, im więcej pływa tem rok będzie lepszy. Na Polhalu w dzień Wigilji myją się wodą w rzece, bo mówią że woda tego dnia chroni od wyrzutów skórnych. We wszystkich zaś stronach kraju dziewczęta zamyślające pójść za mąż znowu pytają nieba o przyszłe losy. Zamiatają izbę w dzień wigilji, wyrzucają śmiecie na dwór i nadsłuchują z której strony pies zaszczeka. Stamtąd przybędzie narzeczony. Po wigilji biorą drwa do ręki. Jeśli wezmą do pary, to dobrze, a jeszcze lepiej jeśli drewno upadnie na progu.

W dzień Trzech Króli, t. j. 6-go stycznia sprzedają przekupnie u wrót kościołów małe podełeczka, w których na pamiątkę darów przyniesionych do Betlejem przez

Trzech Króli, mirry, kadzidła i złota, znajduje się kawałek kredy, pachnące ziarna i kawałeczek pozłotka (złoty papierek). Przedmioty te święci się w kościele i potem kredą święconą ludzie piszą na swoich drzwiach K. M. B. czyli inicjały Trzech Króli, Kasper, Melchior i Boltazar, oraz rok bieżący, aby mieszkańcom tego domu Pan Bóg przez ten rok błogosławił.

Od stycznia dnie zaczynają się już trochę przydłużać, a więc stare przysłowie powiada: Na Nowy Rok, przybywa dnia na barani skok.

J. Morawska.



J. I. KRASZEWSKI.

Wigilja.

Było to w przededniu wigilji Bożego Narodzenia, (1777r.), tego narodowego święta, o którym żaden Polak nie zapomina.

Pułaski [1]) ze swoim oddziałem stał naówczas w Trenton, małym miasteczku, które od Pensylwanji dzielił tylko most, rzucony przez rzekę, amerykański most owych czasów, budowa z ogromnych kloców drzewa, chwiejąca się, pełna szczerb, a mimo to przeskakująca wody przeszło tysiąc stóp szerokie.

Nadchodzące dni świąteczne, Karolowi, adjutantowi Pułaskiego, poddały myśl urządzenia polskiej wilji. Tail się z tym w początkach, ale naostatek musiał zwierzyć się towarzyszowi Pułaskiego, Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać się to nie dawało.

— Panie Macieju — rzekł — mam do was prośbę; gdybyście mi trochę pomóc chcieli, zrobilibyśmy coś, spodziewam się, miłego generałowi.

— Z duszy serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki posiekać — tylko mów.

— Jutro wigilja Bożego Narodzenia. Ja wszystko urządzę: mam już zamówiony ryby morskie, jaja żółwie, murzyn nasz ugotuje. Będzie to piąte przez dziesiąte, ale zjemy na sianie po polsku i przy gwiazdach... kraj nam się przypomni...

— A niech ci Bóg płaci! myśl złota... Ale skądże ty opłatka weźmiesz? A bez opłatka, co to będzie za wilja. Niema wilji bez niego, to darmo!

Napróżno łamali sobie głowę... Zgodzono się jednak bądź co bądź zastawić wieczerzę z ryb na sianie, a w kącie snop polski...

Snop!... Miły Boże... skąd tu wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża? Gdzie żyto, pszenica, jęczmień, owies, wszystko, aż do lnu i tatarki?... bo w snopie na wilję nic nie powinno brakować.

A im tego wszystkiego potrzeba było, by polską macierz przypominało...

Maciej Rogowski nie śmiał się spytać, skąd się wezmą pieniądze na ucztę, wiedział bowiem, że żaden ich nie miał.

Karol miał od ojca zegarek złoty z łańcuchem; długo oszczędzał go, wahał się, żałował, ale dla wodza ukochanego możnaż było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu... Z tego grosza miała się wilja odprawić...

Szło tylko o opłatek.

Wszystko się dawało albo czemś zastąpić, lub ominąć, niedostatek opłatka był niewynagrodzony... On jeden starczyłby za wszystko... on mógł być wilją całą, bez niego wieczerza na sianie — tą uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol rozmyślał o upieczeniu opłatka, gdy dowiedział się, że w niedalekiej osadzie mieszkał ksiądz Francuz, który tam w kapliczce mszę dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Karol siadł na koń, aby pobiec do tego księdza. Już minął ostatnie domki osadników, gdy na drodze zjechał się z obcym mężczyzną, widocznie podróżującym. Rysy jego nie piękne, ale miłe i łagodne, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol — uderzony i strojem i twarzą — natychmiast konia powstrzymał. Podróżny siedział na koniu objuczonym i miał przewodnika. Wszystkich już w okolicy Karol znał, ten widocznie był obcym gościem zdaleka.

Przyłożywszy rękę do czapeczki, podróżny odezwał się po angielsku:

— Czy znajdę w Trenton brygadjera Pułaskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału; lękam się, by nie był na jakiej wyprawie.

1) Kazimierz Pułaski, konfederat barski. Po upadku konfederacji pojechał do Ameryki, tam pod wodzem Waszyngtonem walczył za niepodległość Amerykanów i zginął w bitwie pod Savannah 9 października 1779 r.

Po wymowie pytającego Karol poznał w nim cudzoziemca; serce mu uderzyło do tego człowieka i sam nie wiedział, jak wyrwało mu się słowo polskie.

— A! Polak! brat! — zawołał ochoczo podróżny i obaj skoczyli z koni, aby uściskać się jak bracia rodzeni.

— Jadę od granic Kanady — rzekł podróżny — umyślnie tu do was, do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem. Nazywam się Tadeusz Kościuszko... [1]).

— O, słyszeliśmy już o was. Jakże generał rad wam będzie... Ja jestem adjutantem Pułaskiego, nazywam się Karol Pluta...

— Ach nie wiesz, — przerwał rozrzewniony Kościuszko — co to jest po długim poście posłyszeć mowę swoją, zobaczyć brata!...

Spotkanie najbliższego przyjaciela nie uczyniłoby w kraju na nich obu takiego wrażenia, jak tu zetknięcie się niespodziane dwuch nieznajomych, ale krwią i duchem braci... Stali dosyć długo, ściskali dłonie, nie mogąc się napatrzyć sobie.

W końcu siedli na konie i wrócili do Trenton. Pułaski był szczęśliwy z przybycia ziomka.

Tym sposobem wilja Bożego Narodzenia stała się podwójnie uroczystą dla ugaszczających.

Całą resztę dnia tego spędzili mówiąc o kraju, o dziejach konfederacji, o starych i nowych sprawach.

— Słuchaj, mój Macieju — rzekł Pułaski wieczorem do Rogowskiego, odwiódłszy go na stronę — nasz święty ojcowski obyczaj gościa każe pobożnie przyjmować... a jeszcze takiego gościa! naszego Polaka! Sprzedaj, co chcesz, zastaw, pożycz, a trzeba, żeby wiedział, żeśmy mu radzi.

— Panie generale — rzekł Rogowski — proszę być spokojnym, ja z Karolem obmyślimy środki... jakoś to będzie... Tylko co się tyczy jutra... to post i wilja.

— Wilja! a prawda — rzekł smutnie Pułaski.

Cała noc niemal zeszła na gawędzie przerywanej i na nowo wiązanej. Kilka razy rozchodzono się i, pożegnawszy, znów wracano. Mówili o Polsce, nagadać się nie mogli. Każdy z nich był rodem z innego kąta szerokiej ziemi polskiej, ale uczucia i wspomnienia ich łączyły. Kościuszko, Litwin z Brzeskiego, długo żył w Warszawie i na Mazurach, znał dwór króla, Czartoryskich i wielu znakomitych ludzi owego wieku.

Rogowski z łatwością namówił Pułaskiego i Kościuszkę, aby się z obiadem do gwiazd wstrzymali i zmienili go zwyczajem polskim na wieczerzę. Obaj przyklasnęli tej myśli. Dzień zeszedł szybko, poszli oglądać okolicę, potem wrócili, nic nie zobaczywszy, bo mieli co innego na myśli, mówili o Wiśle i Bugu.

Narzeszcie przyszedł wieczór... Karol już tylko oczekiwał na ukazanie się gwiazd... był w gotowości.

[1]) Kościuszko pojechał także do Ameryki, aby tam walczyć za wolność wybijających się z pod przemocy Anglji Stanów Zjednoczonych. Potem wrócił do kraju i został naczelnym wodzem wojska polskiego w 1794 r.

Serce mu biło, jak swawolnemu studentowi, który zamierza spłatać figla... wszedł do ogródka, po którym przechadzali się wodzowie i, uśmiechając się, rzekł do Pułaskiego:

— Panie generale, wieczerza na stole.

— A! wieczerza! Tak! — podchwycił gospodarz — żartuj zdrów, co mi to za wieczerza w Ameryce! Nie polska to nasza, owa wigilja braterska, uczta święta, ale... co Bóg dał... chodźmy.

Ująwszy pod rękę Kościuszkę, zmierzał, jak zwykle, na górę. Karol wskazał mu drzwi na dole.

— To tu — rzekł.

— Tu? — spytał Pułaski. — Cóż to jest?

— Tak nam wypadło — odpowiedział Karol.

Wtem murzyn otworzył drzwi.

Salka przedstawiała widok niezwyczajny i niespodziany. Naga izba ubrana była świątecznie, ściany zawieszone były zielonemi gałęziami cedrów, jodły i cisów, stół świecił rzęsisto, okryty białym obrusem, pod którym siana domyślać się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Pułaski jak olśniony stanął w progu. Najpierw zobaczył opłatki na talerzu, odwrócił się więc do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując.

— Poczciwy, kochany przyjacielu — zawołał rozrzewniony — chyba twoje złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek i podał go pierwszemu Kościuszce.

— Gdy w Polsce rozłamiesz go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie sobie i Trenton — rzekł cicho.

Milczący, uroczyście jak w świątyni, z myślą do Boga wzniesioną, łamali się tułacze chlebem życia, a myśl ich i serce biegły tam, gdzie do nich także biły piersi stęsknione rodziny, braci, przyjaciół.

Z rozweselonem czołem zasiedli do stołu. Niestety, murzyn barszczu z uszkami zrobić nie umiał, zastępowała go polewka. Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z pozoru; murzyn ów, czego nie mógł dobrze wyrozumieć, w to kładł jak najwięcej pieprzu, który w jego przekonaniu zdolnym był zastąpić wszystko i omylić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żydowsku z patatami (gatunek kartofli) i smażone z kapustą palmową, wybornie się udały.

Biesiadnicy pozostali długo w noc przy tym stole, pito niewiele, powoli, ale mówiono dużo.

Późno już ktoś przypomniał obyczaj wigilji naszej wyciągania z pod obrusa siana; miało to podobno znaczenie, iż kto najdłuższą trawę wysunął, u tego najpiękniejszy len miał obrodzić.

— Ciągnijmy więc — dodał, śmiejąc się Pułaski — będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żniwie.

W tym sianie amerykańskim były, prawdę mówiąc, przeróżne rośliny, nie wszystkie do traw nale-

żące. Każdy rękę włożył pod obrus, a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Pułaskiemu dostał się jakiś kwiat nieznany, już zeschły, na którego łodydze parę tylko listków zielonych zostało.

Rogowski dobył kiść dość długą, na końcu jej grono nasionek przypominało naszą hreczkę.

Karol wyciągnął łodygę zieloną, z kwiatami jeszsze niezupełnie zwiędłemi.

A pan Tadeusz zdziwił się, wyjąwszy uciętą młodą gałązkę o liściach laurowych.

Śmieli się wszyscy, niewiele do tego przywiązując znaczenia, a pan Pułaski rzekł:

— Wam laury, panie Tadeuszu! Daj Bóg, byś je zbierał. Mnie się dostało coś zeschłego, czarnego, jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie...

Wstali wszyscy od stołu.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta i każdy poszedł nie zasnąć, ale myślą polecieć ku ojczyźnie.

Obchód dziesięciolecia w Warszawie.

Już przez kilka ostatnich dni, poprzedzających dzień obchodu dziesięciolecia Niepodległości, czuć było w stolicy jakieś niezwykłe podniecenie i zauważyć było można ruch ogromny. Z jednej strony miasto stroiło się i dekorowało na dzień święta i iluminacji, — z prowincji zaś napływały delegacje, oddziały wojsk i osoby prywatne, pragnące Święto narodowe w Warszawie obchodzić. Ogółem przybyło do Warszawy około 60.000 osób w grupach i delegacjach, nie licząc już osób przyjeżdżających samorzutnie. Ze strachem patrzyli wszyscy na zachmurzone listopadowe niebo. Pochody młodzieży szkolnej do Grobu Nieznanego Żołnierza jeszcze wśród deszczu się odbywały. Ale w sobotę po południu, dn. 10 listopada, gdy publiczność ściągać zaczęła na Rynek Starego Miasta, by uczestniczyć w mającej się tam odbyć uroczystości odbierania odnowionego Starego Rynku przez Magistrat oraz ujrzeć zapowiedziane „Misterjum" Historyczne— chmury się rozeszły, uroczystość odbyła się pod bladem lecz pogodnem niebem jesiennem, wśród kamienic staromiejskich, pięknie odnowionych i odmalowanych polichromją przez grono młodych i pełnych zapału artystów malarzy.



Misterjum na rynku Starego Miasta w Warszawie z okazji 10-lecia Niepodległości.

Stary Rynek ze czterech stron oświetlony był przez cztery potężne reflektory. Publiczność zasiadała na krzesłach, ustawionych w parę rzędów wokoło całego placu. W środku stała estrada, na której muzyka odegrała Hymn Narodowy, poczem chór odśpiewał wspaniałą starą pieśń Boga Rodzica Dziewica. Po uroczystości odebrania Starego Rynku przez Magistrat, odbył się Pochód Historyczny: defilowały konno i pieszo postacie, przedstawiające żołnierzy, którzy bili się o niepodległość Polski, więc Konfederaci Barscy, Kosynierzy, żołnierze Księcia Józefa Poniatowskiego, legjoniści „z ziemi włoskiej", liczna grupa wiarusów z 1831 roku i powstańcy z 1863 r. Pochód zakończył się o godzinie piątej po południu, ale do późna ludność oglądała stary rynek w nowej szacie, w mieście zaś tłumy przyglądały się iluminacji.

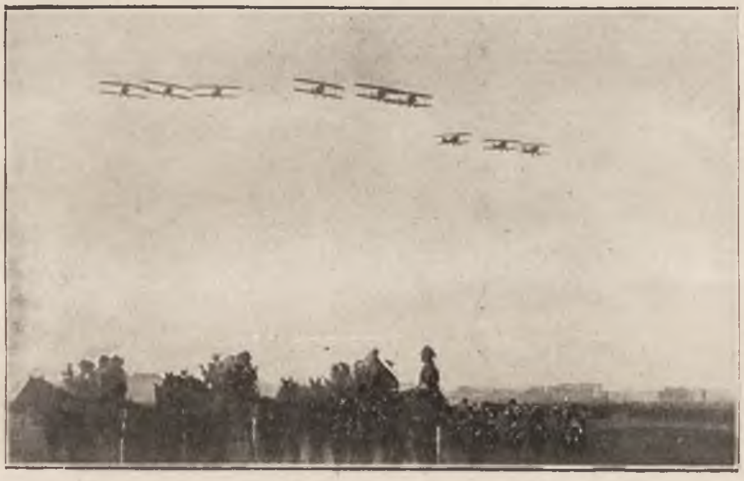
Dzień 11 listopada wstał pogodny i słoneczny. Od rana tłumy ciągnąć poczęły w dwu kierunkach, t. j. do katedry na uroczyste nabożeństwo i na Pole Mokotowskie, gdzie odbyć się miała rewja wojskowa po mszy polowej.

Nabożeństwo w Katedrze odprawił Jego Eminencja ksiądz Kardynał Kakowski. Przed ołtarzem głównym zasiedli przedstawiciele korpusu dyplomatycznego z Nuncjuszem apostolskim na czele, członkowie Rządu, Sejmu, Senatu, przedstawiciele miasta, rektorowie wyższych uczelni i t. d. Przed samem nabożeństwem przybył Pan Prezydent Rzeczypospolitej w otoczeniu adjutantów i szefa kancelarji cywilnej. Kazanie wygłosił ks. Biskup Szlagowski, a w końcu kazania zwrócił się do żołnierza polskiego, wskazując mu jego obowiązki w chwili obecnej.

Tymczasem na Polu Mokotowskiem już od wczesnego ranka ustawione były w porządku wszystkie oddziały wojsk oraz związków i stowarzyszeń, mających wziąć udział w pochodzie. Były to: szkoły wojskowe, piechota i bronie piesze, artylerja, bronie samochodowe, kawalerja z artylerją konną, a za niemi



Defilada Federacji polskich związków Obrońców Ojczyzny.



Defilada samolotów wojskowych.



Defilada artylerji.

bardzo liczne oddziały związków i stowarzyszeń byłych wojskowych. Pomiędzy nimi a wojskiem stały oddziały policji i straży ogniowej, przysposobienie wojskowe kobiet, biorące również udział w rewji.

Wielki plac Towarzystwa Wyścigów Konnych stanowił doskonały teren dla rewji: równy, mający prawie trzy kilometry długości, zamknięty hangarami lotniczemi, odgrodzony barjerami od publiczności, która się tłumnie zgrupowała wzdłuż barjer i na trybunach, przedstawiał doprawdy imponujący widok. Miało się przed oczyma głębokie szeregi wojska, bataljon za bataljonem. Około 30.000 ludzi stało w szyku bojowym. Wojsko robiło dobre wrażenie sprawnością, wyrobieniem postawy żołnierskiej, jednolitością wyćwiczenia.



Marszałek Piłsudski robi przegląd wojsk przed rewją.

Pośrodku, pomiędzy trybunami a oddziałami wojska, stanął samochód z ołtarzem polowym, obok zaś kazalnica. Wybudowano też prowizoryczną trybunę dla przyjmującego defiladę. Cały ten obraz zalany był słońcem, w którem mieniły się mundury i chorągwie, migotały bronie. Przed frontem oddziałów wojskowych ustawione były poczty chorągwiane i sztandarowe 58 pułków, obchodzących w tym roku swoje 10-cio lecie.

O godz. 9-ej przybył na Pole Mokotowskie generał Konarzewski i przyjął raport od generała Wróblewskiego. Potem pułkownik Roatta, attache wojskowy przy Poselstwie włoskiem, w obecności posła włoskiego, Maioniego, wręczył delegatom niektórych pułków piechoty, strzelców podhalańskich, 10 pułku ułanów i dwóch pułków saperów, które, pochodząc z armji Hallera, sformowane były w 1918 r. we Włoszech — dar od armji włoskiej w postaci srebrnych trąbek sygnałowych. W imieniu władz wojskowych polskich przemówił gen. Konarzewski.



Sztandary pułków podczas rewji.

O godz. 10-ej J. E. ksiądz Biskup polowy Gall odprawił mszę świętą, poczem ksiądz Biskup Bandurski wygłosił kazanie patrjotyczne, które za pomocą radja rozbrzmiewało po całym placu.

O godzinie 11-ej powozem, zaprzężonym w parę siwych koni, wjechał na plac Minister Spraw Wojskowych Marszałek Piłsudski. Po przyjęciu raportu od generała Konarzewskiego, przejechał przed frontem oddziałów, witany hymnem narodowym i udał się do loży rządowej, a następnie przeszedł do loży Prezydenta Rzeczypospolitej.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej przybył na plac o godz. 11 min. 30 i zasiadł w swej loży. Marszałek zaś udał się na trybunę, skąd miał przyjmować defiladę, po prawej jego stronie ustawiła się generalicja, na lewo sznur pocztów chorągwianych i sztandarowych.

Defiladę prowadził generał Konarzewski, któremu towarzyszyli generałowie Wróblewski i Jacyna. Przedefilowały szkoły wojskowe podchorążych: piechoty, kawaleryjska, artyleryjska, inżynieryjna, sanitarna, łączności, lotnicza i marynarki. Potem defilowały różne pułki piechoty, bataljon manewrowy, pułki saperów, łączności, oddziały marynarki, pełny bataljon korpusu ochrony pogranicza i pięknie wyglądający oddział straży celnej. Wszystkie te oddziały wywoływały w tłumach entuzjazm. Za piechotą poszła artylerja, polowa i ciężka, pułk artylerji najcięższej i przeciwlotniczej. Potem witane oklaskami przejechały samochody pancerne. Po krótkiej przerwie witana owacyjnie przedefilowała kawalerja, t. j. niektóre pułki szwoleżerów i strzelców konnych, za niemi zaś artylerja konna i szwadrony dywizyjne pionierów i łączności.

Po defiladzie wojskowej przemaszerowały dziarskie oddziały przysposobienia wojskowego, potem zaś związki i stowarzyszenia byłych wojskowych, poprzedzone przez Zarząd nowej organizacji pod nazwą



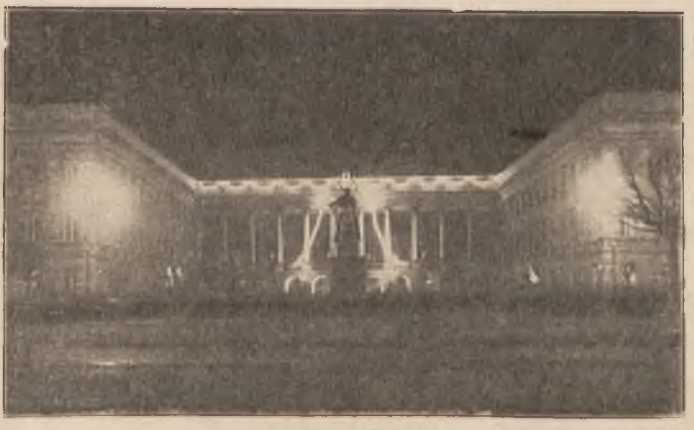
Iluminacja w Ogrodzie Saskim. fot. Photoplat.

„Federacja obrońców ojczyzny" z generałem Góreckim na czele. Rozpoczęli pochód ociemniali i inwalidzi. Zakończyły defiladę oddziały policji i straży ogniowej.

Z Pola Mokotowskiego cała defilada wracała przez miasto. Wszystkie ulice zapełnione były publicznością, która z radością i dumą patrzyła na swoich obrońców.

O godzinie drugiej po południu odbyła się uroczystość złożenia Wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza przez delegacje Związków byłych wojskowych. Ustawiały się one kolejno ze sztandarami między grobem Nieznanego Żołnierza a pomnikiem Księcia Józefa. Grób zasłany był wieńcami. Przemawiał Generał Ulrych i Generał Górecki, podnosząc fakt, że w dniu tym wszystkie bez wyjątku związki byłych wojskowych, olbrzymia armja rezerwy, są obecne na uroczystości, aby zadokumentować swoją gotowość służenia ojczyźnie i bronienia jej w razie potrzeby.

Następnie Związki złożyły swoje wieńce, a były tam: Związek Oficerów Rezerwy, Związki legjonistów, Bajończyków, Polskiej Organizacji Wojskowej, Legjonistów Puławskich, Dowborczyków, Hallerczyków, Kaniowczyków, Murmańczyków i wielu innych. Za pochodem tych związków ciągnął zaprzężony w sześć koni ruchomy pomnik, przedstawiający orła białego, zrywającego kajdany i ozdobionego emblematami wojskowemi.



Sztab Generalny z Grobem Nieznanem Żołnierzem i pomnikiem ks. Józefa Poniatowskiego pięknie iluminowany fot. Photoplat.

Przed grobem Nieznanego Żołnierza powracały też z Pola Mokotowskiego poczty chorągwiane i sztandarowe i pochyliły swe znaki przed symbolem przelanej za ojczyznę krwi.

O godzinie 5-ej po południu odbyła się w Filharmonji uroczysta akademja z przemówieniami i częścią koncertową. Na ulicach zaś miasta panował ruch, jakiego chyba nigdy jeszcze Warszawa nie widziała. Na placu Saskim, na placu Teatralnym, na Wierzbowej, na Nowym Świecie powoli tylko można się było posuwać, takie tłumy w tą i w tą przelewały się stronę. Do



Teatr Wielki oświetlony podczas przedstawienia galowego.
fot. Photoplat.

grobu Nieznanego Żołnierza z trudem można się było docisnąć. Wszystkie gmachy wspaniale były oświetlone, szczególnie zaś Ratusz, Opera, Poczta, Most Poniatowskiego, gmach Monopolu Państwowego. Wszędzie chorągwie, transparenty, portrety Piłsudskiego i Prezydenta Mościckiego, oraz dywany i wieńce. Wystawy sklepowe bardzo pięknie były ustawione, wszędzie chorągiewki, a w sklepach z materjałami włókienniczemi przeważnie urządzone były dekoracje biało - amarantowe.

Wieczorem w teatrach odbywały się galowe przedstawienia, w Teatrze Wielkim wystawiono „Krakowiacy i Górale". Obecni byli: Pan Prezydent Mościcki, Pan Marszałek Piłsudski, przedstawiciele armji i dyplomacji, organizacyj i społeczeństwa. Przed końcem przedstawienia Pan Prezydent udał się na Zamek, gdzie odbywał się ogromny raut z udziałem paru tysięcy osób.

Do późna w nocy miasto nie spało, po ulicach przechodził powtórzony pochód historyczny ze Starego Miasta, w samochodach jeździły maski i wesołe maszkarki, publiczność obrzucała się kolorowemi „confetti" i serpentynami, gwar, śmiechy i okrzyki rozbrzmiewały po całem mieście. Po podniosłych momentach ludność dawała wyraz swej radości we wspólnej, ogólnej zabawie.

Wszystkie miasta Polski, a nawet miasteczka i wsie święciły w tym dniu odrodzenie Polski, a że i na obczyźnie rodacy nasi skupieni w liczniejszych ośrodkach rocznicę obchodzili, wszystkie polskie serca w tym dniu łączyły się w radości i dziękczynieniu dla Boga, że Ojczyźnie Wolność raczył znów powrócić.

W jakim jest stanie budowa Powszechnej Wystawy Krajowej.

Zbliża się termin otwarcia Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu. Od dnia 16 maja 1929 roku podziwiać będziemy to wielkie dzieło, tworzone z okazji 10-cio lecia niepodległości Polski. Wśród wychodźtwa naszego zainteresowanie wystawą jest ogromne. Wielu naszych czytelników wybiera się na Wystawę, gdyż na niej najlepiej poznać można będzie twórczy wysiłek Polaków, dokonany przez ostatnie dziesięć lat.

„Wieści z Polski" stale pisać będą o postępie prac przy organizacji Wystawy. Podawać też będziemy fotografje terenów, gmachów i hal wystawowych. Termin otwarcia Wystawy będzie dotrzymany, dowodzi tego stan wykonanych już robót. Jeszcze rok temu tereny pod Powszechną Wystawę Krajową były puste. Dziś 600.000 metrów kwadratowych powierzchni jest skanalizowanych, zelektryzowanych i zniwelowanych. Zbudowano dotychczas blisko 140.000 mtr. kw. gmachów i hal wystawowych, nie licząc budynków, po corocznych Targach Poznańskich, które to budynki objęte będą również pod Wystawę.

Ogółem 80 procent robót budowlanych już ukończono. Przy robotach tych zużyto 3.850 mtr. sześciennych drzewa, przeszło 10 miljonów sztuk cegły. 20 wagonów żelaza, 1950 mtr. sześc. wapna białego, 4.000 mtr. sześc. żwiru, około 250 wagonów żwiru i t. d.

Gmachy, które zbudowano z żelaza i betonu, zostaną po zakończeniu wystawy na stałe i obrócone będą na szkoły, pawilony dla Uniwersytetu Poznańskiego, muzea i t. p. Hale, przeznaczone tylko na wystawę, zbudowano z drzewa. Ich lekka, pomysłowa konstrukcja świadczy dodatnio o zdolnościach naszych inżynierów budowniczych.

Przy spodziewanym wielkim napływie zwiedzających z kraju i zagranicy największą trudność stanowią kwestje komunikacji, aprowizacji i zakwaterowania. Dzięki wysiłkom Ministerstwa Kolei, Zarządu

Wystawy i magistratu poznańskiego trudności zostaną pokonane i nie będzie kłopotu z przewiezieniem, wyżywieniem i rozlokowaniem wielkich mas zwiedzających. Poznańska Dyrekcja Kolejowa przystąpiła do przebudowy dworca głównego i budowy nowego specjalnie dla Wystawy. Dla transportu eksponatów położono nowe bocznice kolejowe. Poznańska Kolej Elektryczna, samochody, autobusy przystosowano dla dowozu z miasta i okolic wielkich tłumów publiczności. Administracja miejska zbudowała szereg nowych dróg i ulic asfaltowych, prowadzących na Wystawę.



Fragment pałacu kultury i sztuki.

Buduje się wielką centralną restaurację wystawową, która wyżywić będzie mogła dziennie 15.000 osób. Prócz tego na całym terenie rozsianych będzie kilkadziesiąt większych i mniejszych restauracyj, kawiarń, cukierni, mleczarń, herbaciarni. Władze administracyjne czuwać będą, aby ceny na żywność nie były podwyższone, aby nikt w mieście i na terenach wystawy nie ośmielił się uprawiać lichwy.

Aby rozwiązać problem kwater, już od 1 lipca r. b. powołano do życia Miejskie Biuro Kwaterunkowe. Biuro to przygotować musi conajmniej 25.000 kwater dziennie. Na przygotowanie tej ilości wolnych kwater zostaną wyzyskane wszystkie hotele miejscowe, specjalnie budowany obecnie nowoczesny hotel wystawowy, który będzie największym hotelem w Polsce, prócz tego mieszkania prywatne, różne gmachy państwowe, miejskie i publiczne, szkoły i koszary wojskowe.

Oczywiście przygotować trzeba będzie odpowiednią ilość łóżek, pościeli.

Osobne biuro zajmuje się organizacją kongresów i zjazdów.

Do lutego przyszłego roku na terenach wystawowych zorganizowane będą biura informacyjne, wywiadownie handlowe, biura tłumaczów i przewodników, kantory wymiany, biura pocztowe i telefoniczne, biura przewozowe, ubezpieczeniowe, pogotowia sanitarne i stacje opatrunkowe, posterunki straży ogniowej, policji państwowej i służby porządkowej.

Aby dać godziwą rozrywkę tym, którzy zjadą do Poznania, urządzone będzie specjalnie tak zwane „Wesołe Miasto" z luna - parkami, teatrami, kinami i t p.

Na to wielkie, na amerykańską skalę zakrojone, przedsięwzięcie składają pieniądze wszyscy: przemysł, rzemiosła, handel, rolnictwo, banki ,samorządy i rząd.

Na Powszechnej Wystawie Krajowej zilustrowana będzie praca i dorobek kulturalny całego narodu polskiego z kraju oraz z obczyzny (w specjalnie budowanym za pieniądze Polaków amerykańskich Pawilonie Emigracji Polskiej).

J. Str.

K. SŁOŃSKI.

Ja znam ten kraj.

Ja znam ten kraj, gdzie nie cytryny rosną
nie pyszny laur nie wonny mirt rozkwita ,
gdzie stary dąb rozmawia z starą sosną,
i w skwarny dzień wygląda chaber z żyta.

Ja znam ten kraj, gdzie wiatr nie palmy muska,
lecz w ciemną noc w przydrożnej łka olszynie,,
ja znam ten kraj, gdzie stara Dźwina pluska,
i — ojciec rzek — sędziwy Niemen płynie.

Tam ciemny bór mi szumiał nad kołyską,
w wieczorny zmierzch pogańskie swe pacierze,
i konał dzień i mgła się słała nisko
na kwietnych łąk i mokrych mchów bezbrzeże.

I wówczas sny stawały u wezgłowia
i szarych dni powszedniość czarowały,
szepcąc mi wciąż jak cichy szum sitowia:
— pamiętaj tu już bogi umierały.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

Ile mamy długów.

, Nie każdemu wiadomo, że Polska jest jednym z najmniej oddłużonych państw na świecie.

Ogólna suma długów państwowych wynosiła na dzień 30 czerwca r. b. 4.107.782.534 złotych, czyli 461.496.841.43 dolarów (przy stosunku 8.90 zł. za 1 dolara).

Jest to bardzo niewiele, bo zaledwie trochę ponad 15 dolarów na głowę ludności.

Długi zagraniczne wyrażały się cyfrą 3.816.560012 złotych, t. j. 428.826.967.64 dol. Z powyższej sumy przypadało na pożyczki 1.240.899.763 złotych (139.426.939.66 dol.), długi wobec państw obcych, t. zw. reljefowe 2.231.652.444 zł. (250.747.465,62 dol.), długi wobec instytucyj prywatnych 18.821.600 zł. (2.114.786,52 dol), na długi likwidacyjne powoj. 325.186.205 zł. (36.637.775,84 dol).

Długi wewnętrzne wynosiły 291.222.522 zł. czyli 32.669.873,79 dol., z czego długi oprocentowane 275.001.065 zł. (30.850.121,15 dol.) długi bezprocentowe 16.221.457 zł. (1.819.752,64 dol.).

Co zbudowaliśmy w 1928 roku.

Ożywienie akcji budowlanej jest bodaj najważniejszem obecnie zagadnieniem w Polsce. Nietylko dla zwalczania panującego jeszcze w Polsce głodu mieszkaniowego, ale w celu zatrudnienia bezrobotnych. Obok rozwinięcia budownictwa mieszkaniowego konieczną jest budowa całego szeregu domów użyteczności publicznej jak szkoły i t. p.

Przy istniejącym w kraju braku kapitałów prywatnych, budownictwo z konieczności opierać się musi na kredytach rządowych. W ubiegłym sezonie budowlanym kredyty rządowe i banków państwowych wyniosły około 600 miljonów złotych.

Co wybudowano za te pieniądze?

Przedewszystkiem duże ożywienie wykazuje ruch budowlany miast polskich. Wybudowały one 49 elektrowni, 3 gazownie, 36 rzeźni, 10 chłodni, 11 hal; pozatem — 8 sieci wodociągowych, 10 kanalizacyjnych, wreszcie — wybudowano, lub gruntownie odremontowano 34 szkoły, 7 schronisk i domów, 4 ratusze.

Na Górnym Śląsku z liczby 2.500 zaprojektowanych domów, rozpoczęto budowę 800, z których 400 już wykończono i oddano do użytku.

Poznań wydał na budownictwo około *40 miljonów złotych*, nie licząc 8 miljonów, które pochłonęła budowa Powszechnej Wystawy Krajowej. Łódź rozpoczęła budowę 19 gmachów 3-piętrowych, zawierających 1100 mieszkań, które niebawem będą oddane do użytku. Tamtejsze Towarzystwo Akcyjne Budowy Domów Robotniczych z liczby 130 domów zaprojektowanych wykończyło już 98, zawierających około 400 izb.

Plan rozbudowy linji kolejowych.

W 1927 roku ustalono plan rozbudowy sieci kolejowej w Polsce, który przywidywał budowę 13 nowych linji kolejowych w ciągu 8 lat. Linje te budowane miały być przez rząd z dochodów kolei i z dopłat skarbu. Ostatnio, istniejąca przy Ministerstwie Kolei, państwowa rada kolejowa zmieniła program rozbudowy kolejnictwa polskiego. Uznano program poprzedni za zbyt obciążający skarb i życie gospodarcze, wysunięto natomiast projekt sfinansowania budowy nowych linji kolejowych przy pomocy kapitałów zagranicznych w postaci koncesji prywatnych i gwarancji skarbu za minimalną dochodowość. Według obliczeń rady kolejowej na inwestycje kolejowe potrzeba około *miljarda złotych*. Nowy plan przewiduje następującą kolejność budowania linji: *na pierwszem miejscu* postawiono linję *Łazy — Kiwerce*, skracającą o 100 klm. odległość między zagłębiem węglowem i Wołyniem. Na drugiem miejscu figuruje linja *Lublin — Bełżec*, ulepszającą połączenia Warszawy ze Lwowem. Pozatem chodzi o uzyskanie komunikacji z bogatemi okręgami rolniczemi Lubelszczyzny.

Na miejscu trzeciem linja *Niezwiska — Korczew*, która ma być budowana celem przyśpieszenia eksploatacji bogatych w tej okolicy fosforytów tak potrzebnych jako sztuczny nawóz w rolnictwie. Na czwartem miejscu jest linja *Kamień Koszyrski — Janów — Iwacewicze*, która ma ułatwić eksploatację bogactw leśnych. Piątą z kolei będzie linja *Kraków—Miechów*, mająca połączyć dwa najbliższe sobie województwa Krakowskie i Kieleckie, nieposiadające dotychczas bezpośredniej komunikacji. *Na miejscu szóstem* umieszczono linję *Warszawa — Radom — Ostrowiec; na siódmem miejscu* figuruje linja *Toruń — Sierpc — Ostrołęka*, na ósmem *Katowice — Częstochowa — Semkowice* jako pomocnicza linja węglowa, *na dziewiątem Płock — Sierpc — Radziwie.*

Na miejscu dziesiątem znajduje się krótka łącznica *Ożarów — Modlin*, mająca na celu odciążenie węzła warszawskiego, *na 11-em Chełm — Hrubieszów — Sokal, na 12-m Wieluń — Opatówek — Konin, na 13-em — Nowy Targ — Szczawnica — Stary Sącz*

Nowa gałąź przemysłu.

Dzięki podjętym przez magistrat warszawski robotom asfaltowym w ostatnich latach powstała nowa gałęź przemysłu. W roku 1925 istniało na terenie Warszawy tylko jedno przedsiębiorstwo asfaltowe, w r. 1926 — 2, a obecnie — 4. Zatrudniają one znaczną liczbę robotników.

Wobec szerokiego programu brukarskiego magistratu, gałęź ta będzie się obecnie w dalszym ciągu rozwijała, a to tembardziej, że szereg miast prowincjonalnych, jak Częstochowa i inne, pragną pójść za przykładem Warszawy.

Magistrat posiada 5-letni program ułożenia bruków asfaltowych w Warszawie, który w razie posiadania odpowiednich środków, mógłby być przyśpieszony.

Amerykańskie filtry w Warszawie.

Rozwój Warszawy wymaga dostarczania większej ilości wody. Dotychczasowe filtry przy ul. Koszykowej z trudnością mogą sprostać zadaniu. Z tych powodów rozbudowa filtrów stała się bardzo pilną. Konferencja z udziałem najwybitniejszych fachowców całej Polski ustaliła, że najwłaściwszym sposobem rozbudowy warszawskich filtrów będzie budowa wstępnych filtrów pośpiesznych typu amerykańskiego.

Sporządzenie projektu filtrów wymaga wielkiego pośpiechu i winno być ukończone w takim czasie, ażeby już na przyszłą wiosnę można było przystąpić do robót budowlanych.

Konstrukcja tych filtrów składa się z urządzeń, zdobytych praktyką pomysłu miast amerykańskich, przeto magistrat powołał do współpracy w sporządzeniu projektu filtrów kanadyjskie biuro inżynierskie „Des Baillets and Morssen". Biuro „Des Baillets and Morssen" będzie wykonywało projekt specjalnych urządzeń, dyrekcja zaś wodociągów resztę. Plan ma być wykończony z końcem tego roku.

Karawany — samochody w Warszawie.

Warszawa jest miastem starem o ulicach rozplanowanych w ten sposób, że nie są one dostosowane do potrzeb nowoczesnego ruchu miejskiego. Lada pochód, lada zbiegowisko, powodujące zatamowanie jednej z arteryj ruchu, a bieg życia w całem mieście jest na szwank narażony.

Lecz pochody i wypadki, *wywołujące zbiegowiska*, zdarzają się dość rzadko natomiast codziennie i regularnie w pewnych porach dnia *tamują ruch uliczny* kondukty pogrzebowe.

U nas dotąd zwyczaj przewożenia zwłok na cmentarz szybkobieżnym karawanem — samochodem nie przyjął się jeszcze, dążą jednak do tego, — o ile nam wiadomo — i władze miejskie, które pragną ułatwić bieg ruchu ulicznego i przedsiębiorstwa pogrzebowe, pragnące pójść władzom miejskim na rękę.

Zadanie to trudne, bo w grę wchodzi ustalony oddawna zwyczaj odprowadzania zwłok po nabożeństwie żałobnem z kościoła na cmentarz, a jednak wyrzeczenie się tej tradycji jest koniecznością, której w tak wielkiem mieście, jak Warszawa uniknąć prędzej, czy później niepodobna.

Warszawski ogród zoologiczny.

Warszawa, stolica wielkiego państwa, nie posiadała do niedawna ogrodu zoologicznego. W całej Polsce istniał tylko jeden ogród zoologiczny w Poznaniu. Dopiero 1½ roku temu założono w Warszawie miejski ogród zoologiczny. Choć przedstawia się on jeszcze skromnie, jednak stale rozwija się i rozrasta. W r. b. wzniesiono na terenie ogrodu szereg budynków a mianowicie: dom dla służby, zimowe pomieszczenie dla słonia, pawilon dla małp, pawilon dla wilków, oraz pawilon dla futerkowych zwierząt krajowych. Z końcem ub. miesiąca przeprowadzono wodociągi i przystąpiono do robót kanalizacyjnych. Na wykończeniu są: pawilon dla ptaków egzotycznych, kryty oszklonym dachem, kotłownia centralnego ogrzewania, magazyn (żelazo - betonowy), szalety murowane i skanalizowane oraz zagroda dla żubrów. Przygotowuje się zagrody dla sarn i danieli oraz dla dzików.

Stan liczebny zwierząt powiększył się w listopadzie o dwa białe niedźwiedzie, samicę szakala, parę szopów, rysia, dwie pary pingwinów, parę czarnych łabędzi, wreszcie o potomstwo lwów „Apollo" i „Sylwia".

Warszawski „Zoo..." posiada obecnie 747 okazów, w tej liczbie 246 ssaków, 490 ptaków i 11 płazów. Teren Ogrodu obejmuje 28½ ha powierzchni. Frekwencja stale wzrasta.

W ciągu ostatnich 7 miesięcy (od kwietnia do lipca). Ogród zwiedziło około 500.000 osób, w tej liczbie 162.163 dorosłych, 135.186 młodzieży i około 200.000 uczniów różnych szkół. Wycieczki szkolne zwiedzają Ogród bezpłatnie.

Nowe stadjony sportowe.

Sportowcom polskim daje się odczuwać brak dobrych nowoczesnych stadjonów sportowych. Młode nasze kluby sportowe nie mają funduszów na budowę własnych stadjonów. Aby ułatwić i pobudzić rozwój sportu polskiego magistrat warszawski przystępuje do budowy miejskich stadjonów. Pierwszy powstanie na forcie *Szczęśliwickim* z trybunami na 25 tys. widzów, główny jednak *reprezentacyjny stadjon Warszawy* znajdzie się na *Okęciu* w sąsiedztwie lotniska i przyszłego placu wyścigów konnych. Mniejsze place sportowe urządzone zostaną w lasku *Bielańskim, w parkach: wystawowym, Sieleckim, na Rakowcu*, oraz na skwerach przy ul. *Odrowąża i na Woli.*

Rozbudowane będą również nowe baseny pływackie. Ponieważ Wisła nie nadaje się dostatecznie do uprawiania sportów wodnych ze względu na zmienność poziomu wody, zmienność nurtu i szybkość prądu, projekt regulacyjny przewiduje *skoncentrowanie sportu wodnego w dwóch przyszłych basenach na Kępie Potockiej i na łąkach Siekierkowskich.* Baseny posiadać mają około 2 i pół tys. metrów długości i 100 metrów szerokości każdy. Przy tych kanałach znajdą wy-

godne pomieszczenie wszystkie zrzeszenia wioślarskie, które obecnie czasowo tylko mają siedziby nad Wisłą.

Pomniki Wilsona i Kościuszki staną wkrótce w Poznaniu.

Oddawna już istniał w Poznaniu projekt wzniesienia pomnika zmarłemu prezydentowi St. Zjednoczonych, *Woodrow'owi Wilson'owi*, któremu Polska tyle zawdzięcza. Projekt ten wchodzi powoli w stadjum realizacji.

Ostatnio zakończył się konkurs na projekt pomnika, jednak z prac konkursowych, nadesłanych przez polskich rzeźbiarzy, żadna nie została zatwierdzona przez fundatora pomnika *Ignacego Paderewskiego*. Wobec tego pomnik będzie dziełem jednego z rzeźbiarzy amerykańskich.

Pomnik prezydenta Wilson'a na życzenie fundatora stanie w centrum Poznania, prawdopodobnie na Kaponierze albo przed gmachem banku polskiego, w Alejach Marcinkowskiego, a nie, jak uprzednio planowano, w parku imienia prez. Wilson'a.

Natomiast w parku im. prez. Wilson'a stanie pomnik *Tadeusza Kościuszki*, projektowany przez artystkę - rzeźbiarkę p. Trzcińską - Kamińską.

Inwestycje w miastach polskich.

Miasta polskie łożą duże sumy na urządzenia inwestycyjne i mają bardzo różne ambicje w tym zakresie. Lublin np. zapalił się gorąco do rzeźni eksportowej, na co chce przeznaczyć świeżo ukończoną rzeźnię miejską, wybudowaną z kredytów „Ulenowskich" jeszcze przez poprzedni magistrat. Rzeźnia lubelska jest obecnie największą nowoczesną rzeźnią w Polsce i ma rzeczywiście warunki na rzeźnię eksportową, gdyż okręg lubelski jest jednym z centrów hodowli trzody chlewnej.

Magistrat lubelski zainteresował tą sprawą rząd i kapitalistów zagranicznych, którzy zaakceptowali tę propozycję i obecnie jest w toku sprawa zorganizowania giełdy mięsnej i eksploatacji rzeźni lubelskiej, jako rzeźni eksportowej.

W zakresie bardziej idealnym obracają się ambicje Lwowa. Pracuje on nad planem regulacyjnym miasta, uporządkowaniem plantacji — przez usuwanie starych drzew, na miejsce których zasadzono już przeszło 4 tys. nowych. Poza tem zamierza Lwów zająć się podniesieniem bruków, budową zakładu spalania śmieci i wreszcie pragnie przyłączyć do miasta kilka gmin podmiejskich.

Na szczególne podkreślenie zasługuje jednak *rekord historycznej Ołyki*, która jest obecnie małem miasteczkiem kresowem. Pod rządami polskiemi Ołyka zbudowała: wodociągi, elektrownię, rzeźnię, teatr, kino, bruki, most łączący miasto z przedmieściem, wreszcie uruchomiono stałą komunikację autobusową ze stacją kolejową odległą o 9 kilometrów od miasta. Jest to niewątpliwie rekord i podkreślić trzeba — dokonany bez zaciągania pożyczek, a jedynie własnemi środkami miasta i dobrowolnemi wpłatami obywateli, np. książę Radziwiłł pokrył 70 proc. kosztów elektryfikacji miasta.

Generalne czyszczenie miast i miasteczek.

Miasta polskie zwłaszcza małe i to w b. zaborze rosyjskim były zaniedbane nietylko pod względem niezbędnych urządzeń cywilizacyjnych. Czystość i porządek w naszych miasteczkach b. Kongresówki i Kresów Wschodnich bardzo wiele pozostawia do życzenia. To też Minister Spraw Wewnętrznych p. Składkowski z wielką energją prowadzi walkę z brudem i niechlujstwem w miasteczkach, dbając nietylko o higjeniczne warunki życia mieszkańców ale i o estetykę miasteczek i wsi.

Ostatnio zarządy wszystkich miast i miasteczek otrzymały okólniki Ministra Spraw Wewnętrznych, który nakazuje w terminie do 1 grudnia 1929 roku przeprowadzić następujące inwestycje:

Wszystkie śmietniki muszą być nakryte i zamknięte; również studnie muszą posiadać nakrycia. Place targowe i rynki muszą być wybrukowane, a w miastach wojewódzkich i posiadających ponad 50 tys. mieszkańców — asfaltowane lub betonowane. Wszystkie budki i stragany na placach targowych i rynkach muszą mieć estetyczny wygląd i być pomalowane.

Każde województwo ustali typ budek i straganów stosownie do przyjętych w danem województwie motywów architektonicznych. Wszystkie domy mieszkalne muszą być zarówno od ulicy, jak i od podwórza otynkowane, pomalowane lub pobielone przynajmniej raz do roku.

W każdym budżecie miejskim i wiejskim muszą być wstawione sumy na „zadrzewienie" ulic i dróg, w pierwszym rzędzie drzewami owocowemi.

Minister Składkowski wystosował również okólnik do wojewodów, nakazujący doprowadzenie do porządku wszystkich zabudowań fabrycznych, gdyż zewnętrzna ich szata pozostawia wiele do życzenia.

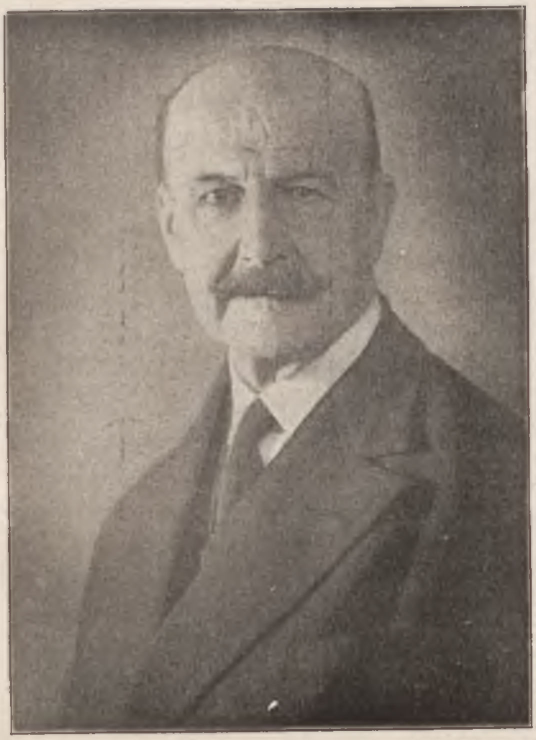
Budynki fabryczne mają być otynkowane lub pomalowane na kolor cegły, tak, ażeby utrzymać jednolity typ zabudowań przemysłowych.

Dziedzińce fabryczne bezwzględnie muszą być utrzymane w czystości i upiększone krzewami.

Paleniska i śmietniki mają się znajdować w pewnej odległości od gmachów fabrycznych, aby nie zatruwały powietrza robotnikom i przechodniom.

Przemysłowcy, którzy nie zastosują się do powyższego zarządzenia, będą pociągnięci do odpowiedzialności.

Zmiany w Urzędzie Emigracyjnym.



Dyrektor Stanisław Gawroński. fot. Photoplat.

WYJĄTKI Z PRZEMOWY POŻEGNALNEJ DYREKTORA GAWROŃSKIEGO.

Zadania Urzędu Emigracyjnego są szczególnie trudne, — a dobrze wypełnione — szczególnie dla Rzeczypospolitej doniosłe. Szczególnie trudne, bo warsztat tej pracy to nie cyfry, nie rzeczy martwe, jak drogi, mosty, koleje, fabryki — ale jedynie i wyłącznie dola ludzka z niewyczerpaną różnorodnością ukształtowań, jakie jej życie nadaje, a z jedną cechą zbiorową, potęgującą jeszcze trudności; dola ludzka w momencie dla niej przełomowym, w momencie, gdy człowiek zrywa z otoczeniem, w którem się urodził i wyrósł, aby w nowem środowisku nowe życie zacząć. Jest to moment jakby przesadzenia. Przesadzenie — dla rośliny — moment krytyczny i wiele ich marnieje, wiele ich ginie, jeżeli ręce, która to uskutecznia brak umiejętności, brak troskliwości.

Tyle o trudności. A doniosłość? Doniosłość społeczna, doniosłość narodowa, doniosłość państwowa? Każdy człowiek — to wartość przeogromna, ratować go w momencie, gdy łatwo zginąć może, już samo w sobie doniosłem. Bronić go od wynarodowienia, to bronić dla Ojczyzny jej największego skarbu — jej syna, jej obywatela. A doniosłość dla Państwa? Cóż może być wspanialszego, jak przeobrazić ubytek jego sił, jakim jest utrata setek tysięcy młodych, dzielnych ludzi we wzmocnienie przez stworzenie i zorganizowanie nowych, zwartych, zdrowych osiedli, które podniosą dobrobyt i potęgę Państwa.

Dnia 1 grudnia przestał pełnić obowiązki Dyrektora Urzędu Emigracyjnego p. Stanisław Gawroński, który przez lat siedem kierował sprawami emigracyjnemi na odpowiedzialnej tej i doniosłej placówce. W tym okresie kształtowania się naszej administracji, polityki emigracyjnej i opieki nad wychodźcami kierownictwo tak wytrawnego znawcy zagadnień emigracyjnych niewątpliwie zaważyło dodatnio na biegu spraw. B. Dyrektor Gawroński brał czynny udział w zawieraniu układów emigracyjnych z państwami, do których kierują się nasi wychodźcy, a znawstwem swoim, taktem i powagą zaznaczył się wybitnie na konferencjach międzynarodowych, kierując niejednokrotnie obradami jak to miało miejsce w marcu roku bieżącego na konferencji hawańskiej, w której występował jako rzecznik interesów wszystkich państw emigracyjnych.

Osobista jego inicjatywa zaznaczyła się wybitnie we wszystkich dziedzinach emigracyjnej działalności państwowej i społecznej, zarówno w ustawodawstwie, jak w administracji, które rozwinęły się i ustaliły pod jego kierownictwem, a niemniej w zakresie opieki, w którym Dyrektor Gawroński wykazał szczególną troskliwość o los emigranta, o jego potrzeby religijne i opiekę duszpasterską, o poszanowanie przez obcych jego godności obywatela polskiego i o pielęgnowanie jego łączności narodowej z krajem.

Przytoczone wyżej słowa Jego wygłoszone do urzędników Urzędu Emigracyjnego, są świadectwem, jak pojmował obowiązek swój państwowy i społeczny i, według słów Jego, jakby testamentem przekazanym najbliższym współpracownikom na niwie emigracyjnej.

P. Gawroński był życzliwym opiekunem instytucyj społecznych, opiekujących się wychodźcami, należycie oceniając wartość inicjatywy obywatelskiej, wykazującej odpowiedni umiar, fachowość i bezinteresowność. Naszej instytucji okazywał zawsze wiele przychylności, nie odmawiając jej cennych swoich uwag i wskazówek. Z pomocy tej pragniemy korzystać i nadal i wyrażamy nadzieję, że działalność jego społeczna, niekrępowana jak dotychczas brakiem czasu i obowiązkami służby państwowej, skutecznie wpłynie na ożywienie i pogłębienie wielu zaniedbanych dotąd działów pracy emigracyjnej.

Na miejsce ustępującego Dyrektora Gawrońskiego mianowany został p. Bolesław Nakoniecznokoff, naczelnik Wydziału Prezydjalnego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, który przed kilku laty piastował urząd wicedyrektora Urzędu Emigracyjnego. Ta poprzednia jego działalność, wykazana w niej energja i zdolności pozwolą mniemać, że Urząd Emigracyjny znajdzie w nim godnego następcę b. Dyrektora Ga-

wrońskiego i dzielnego, obeznanego z tym działem pracy kierownika.

Wydatną pomoc w kierownictwie spraw dawać mu będzie, podobnie jak to było dotychczas, przy b. Dyrektorze Gawrońskim, p. vicedyrektor Roman Kutyłowski, który od lat czterech pełni powierzone mu w Urzędzie funkcje, wykazując niepospolite znawstwo i bystrą orjentację w trudnych i zawiłych zagadnieniach emigracyjnych.

Działalność organizacji społecznych.

ODCZYT O EMIGRACJI KOBIET.

Dnia 1 grudnia odbyła się pod egidą Stowarzyszenia Opieka Polska nad Rodakami na obczyźnie konferencja w sprawie emigracji kobiecej, która wywołuje od dłuższego czasu zaniepokojenie w opinji publicznej i w prasie wobec dochodzących wiadomości o złych warunkach moralnych i materjalnych, w jakich się znajduje znaczna część kobiet polskich, rozproszonych po fermach i fabrykach, zwłaszcza we Francji.

Na konferencji, której przewodniczyła p. Jerzowa Michalska, żona b. Ministra Skarbu, byli obecni przedstawiciele towarzystw, zajmujących się opieką nad kobietami, w tej liczbie: Ochrony Kobiet, Komitetu Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi, Polskiego Stowarzyszenia Młodych Kobiet, Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek, Związku Katolickiego Polek, Stowarzyszenia „Dźwignia", Koła Młodych przy Katol. Związku Polek, Koła Ziemianek, Narodowej Organizacji Kobiet i innych.

W wyczerpującym referacie, wygłoszonym przez Ks. Irenę Puzyniankę, przedstawione były zarówno ulepszenia już przez Rząd wprowadzone, jak trudności i nad wyraz ciężkie stosunki, będące nieodzownym wynikiem wyzysku panoszącego się na tle niezaradności i bezradności naszych emigrantek, osamotnionych i nieznających nowego otoczenia.

Prelegentka, która w czasie pobytu swego w Paryżu na Kongresie Pracy Społecznej, starała się zapoznać z życiem emigrantek polskich i nawiązała kontakt z polskiemi i francuskiemi instytucjami opieki, podkreśliła niedość znaną w kraju, a pełną zasług działalność zakonnic — szarytek, roztaczających nad samotnemi dziewczętami macierzyńską opiekę w zakładzie św. Kazimierza w Paryżu, w Lille, w Lyon, w fabrycznych centralach przemysłu włókienniczego na Północy i w Alzacji. Opowiedziała również o wytężonej, ofiarnej pracy, prowadzonej w zakresie opieki nad kobietami w Opiekach Polskich, a w szczególności w Paryżu, w Amiens, w Lille. Zwróciła przytem uwagę na nieprzygotowanie naszych emigrantek do pracy w tak trudnych warunkach na obczyźnie. Opieka nad niemi winna zaczynać się, zdaniem prelegentki, w kraju przez akcję uświadamiającą i wychowawczą, którą prowadzić winny intensywniej jeszcze niż dotychczas instytucje kobiece.

Dziewczęta młode, z natury rzeczy mało wyrobione życiowo, należy powstrzymywać od emigracji, w której tak łatwo stają się, jak to wykazuje smutne doświadczenie, ofiarami nieuczciwości ludzkiej.

Emigracja kobiet w Polsce nie jest, jak to stwierdzają cyfry bezrobocia, tak nieuniknionem zjawiskiem ekonomicznem jak emigracja mężczyzn. Kobietom nie jest tak trudno znaleść pracę w kraju, na obczyźnie zarobki ich nie są wysokie, a straty, marnowanie sił i zdrowia i opłakane skutki moralne i materjalne daleko częstsze.

Po ożywionej dyskusji, która wywiązała się nad temi zagadnieniami, zebrani uchwalili szereg rezolucyj, wzywających Rząd do ograniczenia emigracji kobiet samotnych wogóle i do całkowitego wstrzymania emigracji robotnic pojedyńczych do Francji, do roztoczenia większej jeszcze opieki nad temi, które już wyemigrowały, do wzmocnienia dozoru nad warunkami wyjazdu i podróży emigrantek.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Zofja Dąbska.

Po długiej, ciężkiej chorobie zmarła w kwiecie wieku p. Zofja z Woyniłłowiczów Dąbska, zasłużona działaczka społeczna, udekorowana krzyżem Polonia Restituta, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego i Prezes Towarzystwa Przyjaciół Inwalidów.

W czasie wojny zmarła pracowała czynnie nad ulżeniem doli żołnierza przez zakładanie gospód i świetlic, a inwalidów otaczała do ostatnich lat macierzyńską opieką. Najwięcej jednak energji i zapału włożyła ś. p. Zofja Dąbska w opiekę nad emigrantami. Sama pochodząc z Kresów rozumiała jak ważną sprawą jest zachowanie polskich uczuć narodowych wśród wychodźtwa, dla trosk ich i cierpień miała zawsze serce otwarte, a szczególnie miłością otaczała najsłabszych i najbiedniejszych, kobiety samotne, rodziny rozłączone, dzieci wychodźców. Broniła też gorąco ich praw na zjazdach międzynarodowych, a w kraju starała się ulżyć ich doli, współdziałała w założeniu żłóbka dla dzieci w hotelu emigracyjnym na Powązkach i w Gdańsku, w organizowaniu kolonij letnich dla dzieci wychodźców, była rzec można duszą Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, które przez śmierć Jej przedwczesną dotkliwą poniosło stratę.

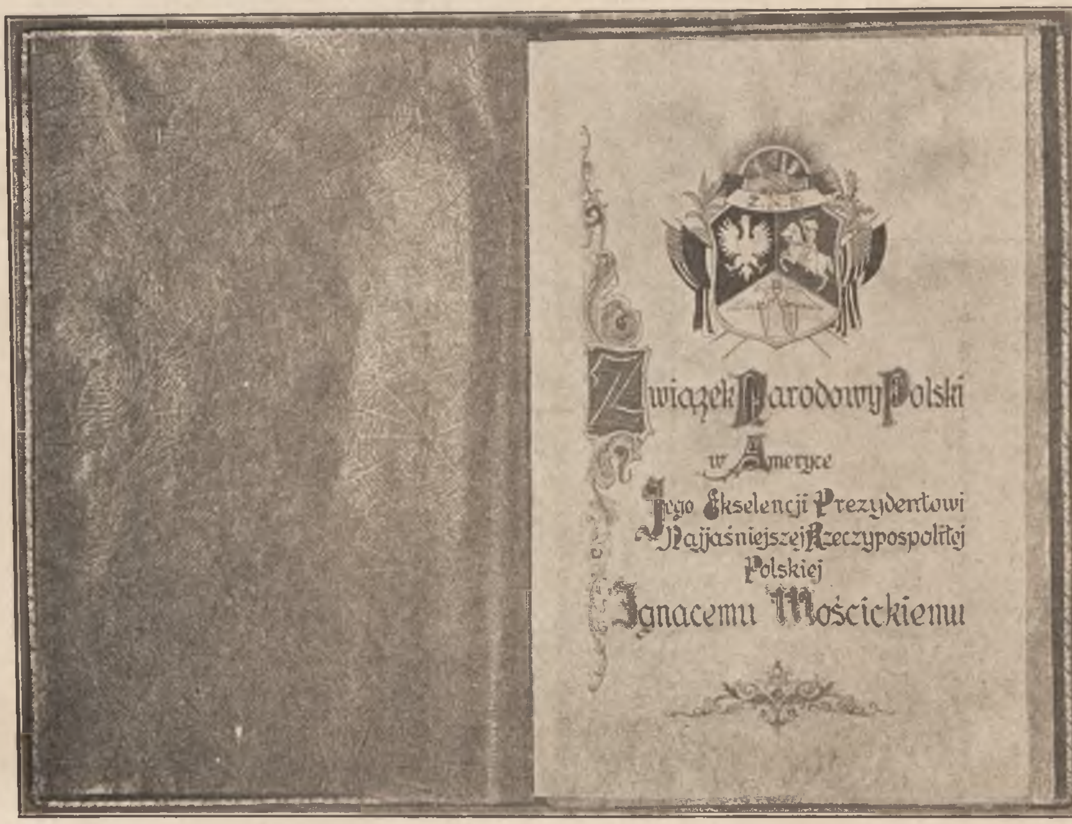
Zmarła miała szczególny dar zjednywania sobie współpracowników miłym i prostym, a nacechowanym życzliwością stosunkiem do ludzi. Pozostawiła po sobie żal i dobre wspomnienie wszystkich, którzy patrzyli na Jej pracę i tych, którzy doznali serdecznej pomocy, jakiej nie skąpiła potrzebującym.

Przedstawiciele Zw. Narodowego Polskiego z Ameryki w Polsce.

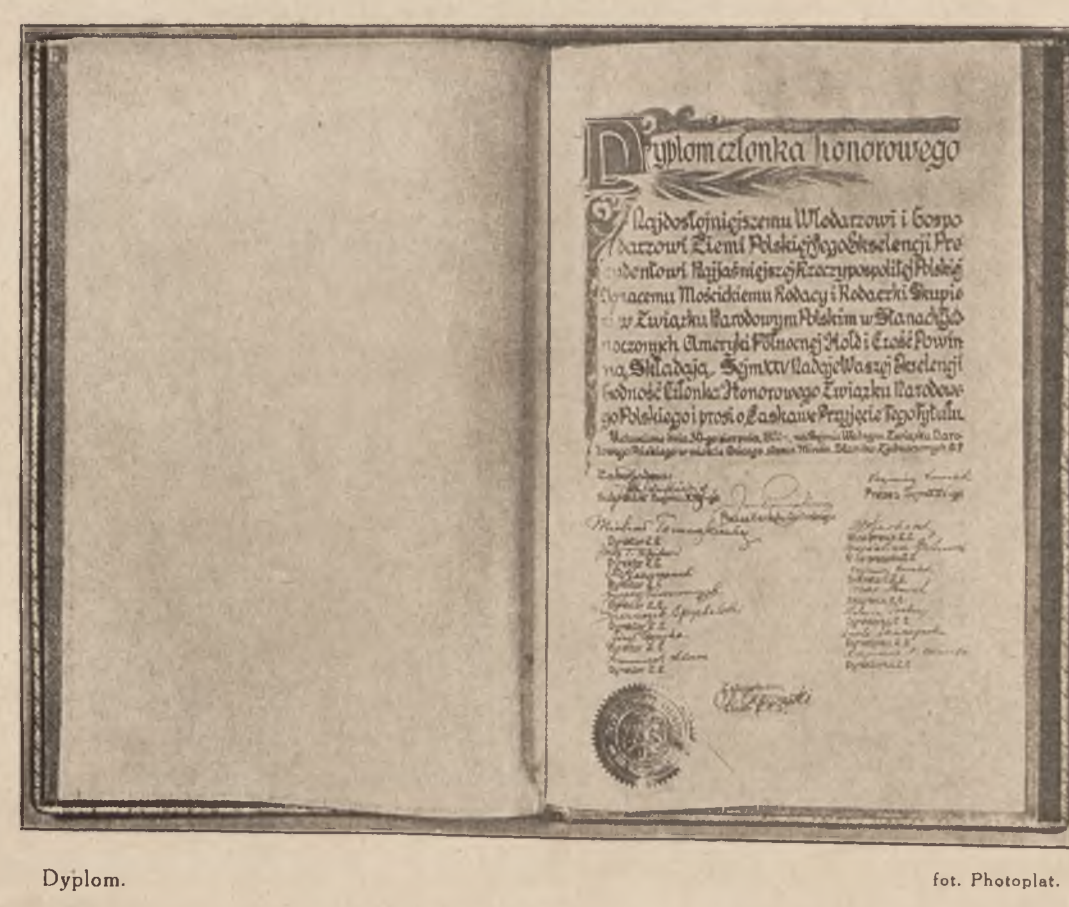
Bawi w Polsce delegacja największej instytucji polskiej na wychodźtwie i wogóle największej polskiej organizacji społecznej — Związku Narodowego Polskiego w Ameryce. W skład delegacji wchodzą: cenzor Związku p. Sypniewski oraz redaktorowie: p. Kurdziel i p. Ruszkiewicz. Przybyli Oni celem złożenia hołdu p. Prezydentowi Mościckiemu i p. Marszałkowi Piłsudskiemu, oraz wręczenia oznak honorowych i godnoćci członka honorowego Związku Panu Prezydentowi, Panu Marszałkowi, generałowi Żeligowskiemu i biskupowi Bandurskiewu. (Obok pcdajemy fotografję dyplomu, wręczonego p. Prezydentowi, podobne dyplomy wręczono p. Marszałkowi Piłsudskiemu, generałowi Żeligowskiemu i bisk. Bandurskiemu).

Goście amerykańscy witani byli i podejmowani bardzo serdecznie. Na cześć Ich Polskie Towarzystwo Emigracyjne wydało bankiet, który zaszczycili swą obecnością p. marszałek Senatu prof. Szymański (który długie lata spędził w Ameryce i pracował wśród wychodźtwa, będąc cenzorem Zw. Nar. Polskiego) oraz szereg wybitnych osobistości ze sfer rządowych i z organizacji społecznych. Przed rozpoczęciem biesiady p. minister Zaleski udekorował p. cenzora Sypniewskiego Komandorją Orderu „Polonia Restituta“, a p. red. Kurdziela Krzyżem Oficerskim tegoż orderu.

Panowie przedstawiciele Związku Nar. Polskiego podczas swego pobytu w kraju mają odbyć szereg konferencji w sprawie współpracy wychodźtwa polsko amerykańskiego z krajem.



Okładka dyplomu. fot. Photoplat.



Dyplom. fot. Photoplat.



AUGUST ZALESKI
Minister Spraw Zagranicznych.

Mowa Ministra Zaleskiego

Do Przedstawicieli Związku Narodowego Polskiego w Ameryce.

Na cześć bawiącego obecnie w Polsce cenzora Związku Narodowego Polskiego w Ameryce p. Sypniewskiego i redaktorów Ruszkiewicza i Kurdziela odbył się bankiet, na którym p. Minister Spraw Zagranicznych Zaleski wygłosił piękne przemówienie. Wyraziwszy radość z powodu przybycia przedstawicieli Związku Narodowego Polskiego i powitawszy Ich w imieniu swojem i Rządu Rzeczypospolitej p. minister podkreślił, że Rząd i społeczeństwo nasze przywiązują wielką wagę zarówno do samego faktu istnienia parumiljonowego odłamu narodu polskiego w łonie największego mocarstwa Stanów Zjednoczonych, jak i do utrzymania najściślejszego kontaktu między tą Polonją a krajem.

Podajemy najcharakterystyczniejszy ustęp z przemówienia p. ministra Zaleskiego.

...Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że naród polski, którego nieomal trzecia część żyje poza granicami Polski, nie może nie dbać o zachowanie z nią łączności kultury, a w pewnej mierze także i łączności interesów gospodarczych, z drugiej zaś strony nie ulega dla mnie wątpliwości, że Stany Zjednoczone, ta przybrana Ojczyzna ziomków naszych za oceanem, którą jej obywatele narodowości polskiej otaczają tak zasłużoną miłością i szacunkiem, posiada najżywotniejszy interes w tem właśnie, aby ci obywatele nie wyzbywali się samej podstawy kultury człowieka, jaką stanowi tradycja narodowa.

Zdaje mi się, że przyjacielskie stosunki między Polską a Stanami Zjednoczonemi stwarzają doskonałe podłoże dla rozwoju łączności między nami a Polonją amerykańską. I jeżeli w tej dziedzinie historja dziesięciu lat minionych, od chwili odzyskania naszej niepodległości, wykazuje mimo wszystko pewne braki i pewne za-

wody, to przyczyna tego leży w tem, że z jednej strony my tutaj w kraju, pochłonięci nawałem prac i trudności swoich własnych — zamało może zwracaliśmy uwagi na naszą Polonję zaoceaniczną; z drugiej strony — że rodacy nasi w Ameryce zbyt łatwo poddawali się uczuciu zawodu lub nawet rozgoryczenia, gdy nadzieje ich, związane ze wskrzeszeniem Państwa polskiego nie przyoblekły się w ich mniemaniu dostatecznie szybko w szatę realną.

Na szczęście, okres ten leży już poza nami. I dzisiaj, bez uczucia dumy, bo ta nie byłaby na miejscu wobec Rodaków, którzy wespół z nami przyczynili się do odbudowy naszego życia państwowego i gospodarczego, ale z uczuciem spokoju możemy powiedzieć do was: przyjeżdżajcie do Polski i patrzcie, czegośmy dokonali. Każde nieuprzedzone oko dojrzy ogromny dorobek na wszystkich polach pracy, a każde serce polaka zgłębić będzie musiało ogrom trudu i poświęcenia, jakiego wymagała ta praca odźwigania wszystkiego z gruzów wojny i ze spustoszenia półtorawiekowej niewoli...

Zakończył Pan Minister przemówienie toastem na cześć Polonji Amerykańskiej.

Z życia młodzieży.

ORGANIZACJA ŻYCIA AKADEMICKIEGO.

Nie jest rzeczą łatwą dokładnie zorjentować się w strukturze wszechstronnie i celowo rozbudowanego gmachu organizacyjnego polskiej młodzieży akademickiej, albowiem przed młodzieżą stanęło po wojnie tyle dziedzin i terenów pracy w kierunku zaspokojenia jej potrzeb zarówno duchowych, jak i materjalnych, że szybki i intensywny rozwój organizacyj akademickich cechuje wielka różnorodność zadań. Zasadniczo można podzielić organizacje akademickie w sposób następujący:

1. Organizacje Samopomocowe — „Bratnie Pomoce";
2. Organizacje Naukowe;
3. Organizacje terytorjalne — t. zw. „Koła Prowincjonalne";
4. Organizacje ideowo - wychowawcze — Korporacje;
5. Organizacje ideowo - polityczne;
6. Organizacje sportowe;
7. Organizacje specjalne.

Poniżej damy krótki przegląd wyżej wymienionych organizacyj.

1. „*Bratnie Pomoce*".



Dom akademiczek w Warszawie.



Politechnika Warszawska.

Na szybki rozwój „Bratnich Pomocy" wpłynęły ciężkie warunki, w jakich znajdowała się i znajduje młodzież studjująca, to też istnieją one na wszystkich uczelniach wyższych, rozwijając szeroką działalność w kierunku dostarczania swoim członkom wszelkiej pomocy materjalnej, jako to: mieszkań, taniego utrzymania, odzieży, podręczników, pomocy lekarskiej, pożyczek, pracy i odpoczynku letniego. Wszystkie „Bratnie Pomoce" należą do „Ogólnopolskiego Związku Bratnich Pomocy", który liczy obecnie zgórą 26 tysięcy członków w 9-ciu środowiskach akademickich.

W poszczególnych środowiskach „Bratnie Pomoce" łączą się w „Centrale", powołane dla decydowania spraw lokalnych. Zarówno zdobywanie funduszów jak i administrowanie instytucjami „Bratnich



Wyższa Szkoła Handlowa w Warszawie przy ul. Rakowieckiej.

Pomocy" pozostawione jest prawie całkowicie samej młodzieży, która zasoby pieniężne czerpie ze składek członkowskich oraz urządzanych imprez, z których największą jest doroczny „Tydzień Akademika" w całej Polsce.

Pomoc starszego społeczeństwa nie może być jednak pominięta milczeniem. Istnieje bowiem „Rada Naczelna dla spraw pomocy młodzieży akademickiej" do której wchodzi szereg wybitnych przedstawicieli społeczeństwa, a organizacjami terytorjalnemi są „Komitety Wojewódzkie" w liczbie 16 i „Koła Przyjaciół Akademika", których istnieje około 200.

Do zakresu czynności „Rady Naczelnej" z siedzibą w Warszawie (prezes Władysław hr. Sołtan, wojewoda i b. minister) należy: nadzór nad działalnością „Komitetów Wojewódzkich", urządzanie łącznie z młodzieżą „Tygodnia Akademika", „Kół Przyjaciół Akademika", opinjowanie co do pomocy państwowej i samorządowej, propagowanie idei pomocy akademika i t. d.

„Komitety Wojewódzkie i „Koła Przyjaciół Akademika" mają analogiczne zadania w zmniejszonym zakresie.



Dom Akademicki w Warszawie przy ul. Górnośląskiej 16.

Współpraca starszego Społeczeństwa i Młodzieży Akademickiej umożliwiła wybudowanie szeregu domów akademickich, a nawet całych kolonji, uruchomienie licznych kuchni studenckich i dostarczenie wszelkiej innej pomocy licznej niezamożnej rzeszy akademickiej. Łącznie z szeregiem zapisów i fundacyj na powyższe cele majątek „Ogólno-polskiego Związku Bratnich Pomocy" wynosi obecnie przeszło 17 miljonów złotych. Pomoc udzielana młodzieży akademickiej oparta jest na racjonalnych zasadach w ten sposób, iż po ukończeniu studjów pobierający świadczenia obowiązani są do ich zwrotu, tak że wyłączona jest wszelka filantropja, nosząca charakter jałmużny. Liczba korzystających z pomocy koleżeńskiej przedstawia się rocznie w przybliżeniu jak następuje:

1.	Domy i bursy akademickie . .	3.000 czł.
2.	Kuchnie akademickie . . .	7.000 czł.
3.	Opieka zdrowotna	7.000 czł.
4.	Sanatorjum w Zakopanem . .	120 czł.
5.	Kolonje letnie	1.400 czł.

akademickiej wszystko to jest jeszcze nie wystarczające,

Pomimo tak szerokiej rozbudowy samopomocy

ciągłą więc troską organizacyj jest zdobywanie dalszych funduszów, aby jak najwięcej potrzeb módz zaspokoić.

2. *„Organizacje Naukowe".*

Przy wydziałach powstają „Koła Naukowe", których celem jest pogłębianie naukowych wiadomości swych członków oraz rozwinięcie w nich zdolności do samodzielnej pracy naukowej. „Koła" urządzają odczyty, zebrania dyskusyjne, utrzymują bibljoteki, wydają pisma fachowe i t. p. Zrzeszone są one w „Centralnym Związku Kół Naukowych", liczącym około 15 tysięcy członków.

3. *„Koła Prowincjonalne".*

Mają na celu pracę społeczną na prowincji i podtrzymywanie życia towarzyskiego i wzajemnej pomocy wśród swych członków. Na terenie środowisk powstały „Zrzeszenia Kół Prowincjonalnych", zaś od r. 1925 istnieje „Ogólnopolski Związek Kół Prowincjonalnych", grupujący ok. 130 kół i 650 członków.



Główny pawilon kolonji akademickiej w Warszawie.

4. *„Korporacje".*

Korporacje akademickie są stowarzyszeniami ideowo - wychowaczemi, mającemi na celu przez wspólną pracę przyjaciół - kolegów przygotowanie swych członków do pracy obywatelskiej dla dobra Ojczyzny. Cechą charakterystyczną korporacji jest ograniczona liczba członków (maksimum 100), dokładne poznanie kandydata, podział na junjorów i senjorów, oraz dożywotnia łączność organizacyjna w charakterze t. zw. „filistra". Korporacje poza tem noszą specjalne odznaki i przestrzegają wspólnych, na tradycji opartych, zwyczajów.

Istniały one na obczyźnie jeszcze przed wojną, jak „Polonia", najstarsza korporacja, założona w roku 1828 w Dorpacie (w Estonji, na terytorjum dawnem Rosji), „Arkonja" (1878) i „Welecja" (1883) w Rydze (Łotwa) i inne. Po odzyskaniu niepodległości korporacje owe przeniosły się do Polski, pozatem powstał cały szereg nowych, zrzeszonych obecnie w „Związku Polskich Korporacyj Akademickich", liczącym 79 korporacyj w 9-ciu środowiskach, zgórą 3.000 członków i tyleż „filistrów".



Dom Akademicki na Sołaczu w Poznaniu

Korporacje grupują w sobie elitę umysłową i towarzyską młodzieży akademickiej, przez co odgrywają rolę kierowniczą w życiu akademickiem. Zbliżeniem do korporacyj są powstałe niedawno „Konfederacje".

5. *„Organizacje ideowo - polityczne".*

Odgrywają one również doniosłą rolę w życiu młodzieży akademickiej, chociaż liczą stosunkowo niewielką ilość członków, opierając swą siłę głównie na „sympatykach". Wymieńmy tu najważniejsze organizacje idąc z prawa na lewo:

a) „Młodzież Monarchistyczna";
b) „Młodzież Wszechpolska";
c) „Katolicka Młodzież Narodowa";
d) „Odrodzenie";
e) „Młodzież ludowa";
f) „Związek Młodzieży Demokratycznej";
g) „Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej".

6. *„Organizacje sportowe".*

W każdym środowisku istnieje Akademicki Związek Sportowy połączony z Centralą A. Z. S. - ów w Warszawie. Akademicy - sportowcy odgrywają doniosłą rolę w sporcie polskim, wysuwając się na czoło zawodników w szeregu gałęzi sportu. Akademickie Związki Sportowe liczą ok. 6.000 członków, w tej liczbie wielu rekordzistów jak np. Halina Konopacka, mistrzyni świata w rzucie dyskiem.



Dom Akademicki w Poznaniu.

7. *„Organizacje specjalne"*.

Są to stowarzyszenia krajoznawcze oraz koła: Przyjaciół Francji, Czechosłowacji, Rumunji, Stow. Ligi Narodów i t. p.

Te ostatnie są naogół nieliczne, mimo to pracują usilnie nad zbliżeniem do siebie zaprzyjaźnionych narodów przez urządzanie wycieczek, przyjmowanie gości zagranicznych i t. p.

W ten sposób podaliśmy tu przegląd tych wszystkich organizacyj akademickich które w zasadzie wszystkie (z wyjątkiem komunistów) wchodzą w skład „Związku Narodowego Polskiej Młodzieży Akademickiej", o którym pomówimy osobno!

Pominęliśmy zupełnie organizacje młodzieży akademickiej mniejszości narodowych, z któremi ze względu na ich negatywny naogół stosunek do Państwa Polskiego młodzież polska nie utrzymuje kontaktu ani organizacyjnego, ani towarzyskiego.

Dzięki zdecydowanej postawie narodowej ogromnej większości młodzieży polskiej posiada ona jednolitą reprezentację w postaci Naczelnego Komitetu Akademickiego, wyłonionego przez Zjazd ogólny polskiej młodzieży akademickiej, która to egzekutywa kieruje całem życiem akademickiem i reprezentuje polską młodzież akademicką na terenie zagranicznym w Międzynarodowym Związku Studentów, gdzie posiada wielkie wpływy i może się poszczycić szeregiem sukcesów, o czem pomówimy w następnych artykułach.

Zygmunt Jakobi

Kierownik Wydz. Prasowego Naczelnego Komitetu Akademickiego

Polacy na obczyźnie w X-tą rocznicę Niepodległości.



Kolonja polska ze sztandarami w Domu Polskim w Kolonji.



Prezes związku byłych wojskowych w Belgji, p. St. Grzebyszak składa wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza belgijskiego w dniu 11 listopada r. b.

POLONIA ZAGRANICZNA.

STANY ZJEDNOCZONE A. P.

PRASA POLSKA U PREZYDENTA COOLIDGE'A.



Przedstawiciele polskiej prasy w Ameryce byli przyjęci przez Prezydenta Coolidge'a, poczem dokonane było zdjęcie. Od lewej do prawej w rzędzie pierwszym: C. Dziadulewicz, (Kurjer Polski, Milwaukee); A. Paryski, („Ameryka - Echo", Toledo); Prezydent Coolidge; C. W. Sypniewski, Cenzor Zw. Nar. Polskiego, F. Ruszkiewicz, („Dziennik dla Wszystkich", Buffalo), J. Ruszkiewicz. Drugi rząd: N. Hencel, („Głos Polski", Chicago); T. J. Paryski, prof. Zwierzchowski, („Kurjer Polski", Milwaukee); P. Kurdziel („Wiadomości Codzienne", Cleveland); F. Januszewski, („Dziennik Polski", Detroit); A. Ruszkiewicz. („Dzien. dla Wszyst.", Buffalo); oraz F. Wójcik, (Dzien. Poski", Detroit).

ZWIĄZEK SOKOŁÓW POLSKICH.

Obok opisanych w poprzednim numerze organizacji polskich w Ameryce, jedną z większych ról odgrywa wśród wychodźtwa polsko-amerykańskiego — sokolstwo polskie.

Początki sokolstwa polskiego w Ameryce sięgają 1888 roku, w którym to roku stniała już grupa sokołów polskich w Chicago. Związek Sokołów Polskich, jako wspólna organizacja, obejmująca liczne dotąd drużyny sokole, powstał w 1894 roku. Pierwszym prezesem Związku był Kazimerz Żychliński.

Początki dla Sokolstwa Polskiego były trudne, dzięki jednak wytrwałości i usilnej pracy Związek Sokołów Polskich rozwinął się w dużą organizację, liczącą przed wojną 30.000 członków i członkiń. Wielkie zasługi dla Polski położyło sokolstwo podczas wojny światowej, stając się fundamentem armji polskiej, organizowanej w Ameryce. Podczas wojny szeregi sokole zeszczuplały; obecne sokolstwo polskie przychodzi stopniowo do równowagi, obejmując w swych szeregach młodzież urodzoną w Ameryce. Organizując tę młodzież na podstawie tak lubianych w Ameryce ćwiczeń fizycznych i sportu, Sokolstwo stara się u młodych członków (iń) wpoić miłość do mowy ojczystej i kultury polskiej, zachować ich dla polskości i zaszczepić dumę z pochodzenia polskiego. Siedzibą Związku jest Pittsburgh, Pa.

STOWARZYSZENIE WETERANÓW ARMJI POLSKIEJ W AMERYCE.

Dawni członkowie armji polskiej, stworzonej w Ameryce i walczącej o wolność Polski pod wodzą generała J. Hallera, po powrocie do Ameryki zaczęli się organizować w kółka weteranów armji polskiej, głównie celem samopomocy koleżeńskiej. W 1921 r. w Cleveland, Ohio, powstał związek pod nazwą „Stowarzyszenie Weteranów Armji Polskiej w Ameryce". Prezesem obrano drł T. Starzyńskiego. W 1923 roku Stowarzyszenie zakupiło majątek Kuligi na Pomorzu, gdzie osadzono kolegów swych inwalidów z wojny światowej. Wogóle zaznaczyć należy że Stowarzyszenie wiele robi w niesieniu braterskiej pomocy swym kolegom z wojska oraz wykazuje wielką ofiarność na cele polskie, składając znaczną ofiarę na osadnictwo polskie na kresach wschodnich Rzeczypospolitej, zebrawszy fundusz na budowę Domu dla Inwalidów w Warszawie i t. p.

Stow. Wet. Arm. Pol. liczy obecnie przeszło 2 tysiące czynnych członków i przeszło 500 członkiń i członków w tak zwanym Korpusie Pomocniczym. Siedziba Stowarzyszenia mieści się obecnie w Detroit, Mich. Organem prasowym stowarzyszenia jest dobrze prowadzony miesięcznik p. t. „Weteran".

ZWIĄZEK WETERANÓW ARMJI AMERYKAŃSKIEJ POLSKIEGO POCHODZENIA.

Wspomnieć należy jeszcze o tych rodakach, którzy walczyli w armji amerykańskiej lecz czują się Polakami i cenią swe polskie pochodzenie. Tworzą oni t. zw. „Związek Weteranów Armji Amerykańskiej Polskiego Pochodzenia". Organizacja ta oddaje duże usługi wychodźtwu polskiemu w Ameryce a także i Polsce. Oto co czytamy o tej organizacji w „Kurjerze Polskim" w Milwaukee, Wisc. „Kiedy różne czynniki siały kłamstwa na Polskę w czasie najazdu bolszewickiego na kraj polski, Zw. Wet. Arm. Am. Pol. Poch. urządził wymarsz i wiec protestacyjny, paraliżując tem kłamstwa rozsiewane. Kiedy na G. Śląsku rozpoczęto walkę z polskością, urządzono wiec, na kórym zebrano kilkaset dolarów na ratunek dla naszych dzielnych ślązaków. Gdy pisma amerykańskie, wrogo usposobione do Polski, oczerniały przez swe kłamstwa kraj Polski, aby Polska nie mogła otrzymać pożyczki w Ameryce, wówczas Związek Weteranów Amerykańskich Polskiego Pochodzenia wysłał do Prezydenta Stanów Zjednoczonych jako też i do odnośnych władz krajowych, swój protest prostując oszczercze kłamstwa"...

DZIEŃ POLSKI W CHICAGO.

Z okazji 10-lecia niepodległości, polska izba przemysłowo-handlowa w Chicago urządziła przy poparciu i czynnej pomocy konsulatu jeneralnego „Dzień polski" na wystawie turystycznej. Zwiedzających było bardzo dużo. Dział polski przedstawiał się bardzo zajmująco. Zdjęcia pięknych krajobrazów polskich i dzieł architektonicznych, piękne okazy przemysłu ludowego i t. p. zwracały ogólną uwagę. „Dzień polski" urozmaicony był popisami muzycznemi miejscowych sił polskich.

OBCHÓD DZIESIĘCIOLECIA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI HAMTRAMCK.

We wszystkich ośrodkach Polonji amerykańskiej odbyły się uroczyste obchody dziesięciolecia wskrzeszenia Państwa Polskiego. Najokazalej jednak może obchód ten odbył się w mieście Hamtramck, (część wielkiego miasta Detroit w stanie Michigan). Prawie z samych Polaków składa się miasto Hamtramck, major miasta (burmistrz) i władze miejskie składają się z obywateli pochodzenia polskiego. Handel, częściowo przemysł, banki, wszystko to w rękach polskich, nic więc dziwnego, że tam najwspanialej wypadło święto dziesięciolecia niepodległości „starego kraju". Takiej manifestacji, jaką urządzili Polacy hamtramiccy miasto Hamtramck nie miało jeszcze nigdy dotychczas w swojej historji.

Manifestacje jakie odbywały się z okazji obchodu 10-lecia Niepodległości Polski, pod każdym względem przewyższyły manifestacje odbyte około dwa lata temu, z okazji stulecia istnienia miasta. Przyznaje to każdy, kto brał udział w pochodzie i każdy kto pochodowi się przyglądał.

W pochodzie, jaki odbył się po południu, po ulicach miasta, liczny udział brały wszystkie zrzeszenia polskie, istniejące w Hamtrack. Niemniej tłumnie Polonja stawiła się na Akademję, która odbyła się wieczorem w audytorjum wyższej szkoły. Obszerna sala nie mogła pomieścić wszystkich i kilkaset osób musiało odejść do domów.

Całość manifestacyjnego obchodu, wielkiego dla Narodu polskiego święta, wypadła imponująco.

POLSKA ŚPIEWACZKA OLSZEWSKA WYSTĘPUJE W OPERZE CHICAGOWSKIEJ.

Sezon operowy został w Chicago rozpoczęty operą Bizeta „Carmen". Partję tytułową wykonała śpiewaczka polska, Marja Olszewska, która zdobyła sobie laury występami swymi w państwowej operze wiedeńskiej, w Covent Garden — w Londynie i w słynnym teatrze „Colon" — w Buenos Aires.

Bez żadnej agitacji ze strony liderów Polonji — Polka zajęła pierwszorzędne miejsce w jednej z największych operowych kampanji na świecie.

KANADA.

OTWARCIE „DOMU POLSKIEGO" W WELLAND.

We wrześniu b. r. miało miejsce otwarcie „Domu Polskiego" w Welland, który odbudowany został własnemi siłami kolonji polskiej tejże miejscowości, liczącej około 500 osób, a głównie i dzięki staraniom prezesa tamtejszego Towarzystwa, robotnika fabrycznego p. Michała Borkowskiego.

Sensacją programu obchodu otwarcia „Domu Polskiego", na który przybył Konsul Rz. Pol. w Montrealu p. Olechowski, było przemówienie miejscowego szefa policji, który wychwalał polskich emigrantów i wzywał ich, by nie zapominali swojej ojczyzny polskiej, bo gdyby jej nie kochali, nie wierzyłby w ich lojalność obywatelską względem Kanady.

BRAZYLJA.

INDJANIE ODWIEDZAJĄ KOLONJE POLSKIE W BRAZYLJI.

Gazety polskie, wychodzące w Brazylji ,donoszą o wizycie indjan z plemienia botokudów w kolonji polskiej Lucena.

Dnia 13 października r. b. przyjechał na kolonję ksiądz Kominek, który miał następnego dnia odprawić nabożeństwo w kaplicy na Moemie. Skoro dowiedzieli się o tem botokudzi, mieszkający za górą Tayo, udali się do kaplicy, docierając do niej po całonocnej podróży. Zgłodzeni i wyczerpani podróżą indjanie radośnie powitali ks. Kominka, wołając: papai! papai! Ksiądz Kominek przyjął niezwykłych gości z serdeczną, staropolską gościnnością. Na śniadanie, urządzone dla nich, koloniści nasi nanieśli tyle chleba, miodu i innych produktów, że nawet wiecznie głodni botokudzi nie potrafili wszystkiego spożyć. Po posiłku indjanie udali się do kaplicy na nabożeństwo, gdzie, zbici w gromadkę, słuchali przykładnie Mszy świętej. Wielu z nich było na nabożeństwie po raz pierwszy w życiu.

Po Mszy świętej udali się do domu ks. misjonarza. Zmęczonych i strudzonych dzikich wzięli koloniści na wóz, obok którego konno towarzyszył im ks. Kominek. Jazda indjan przez Lucenę wywołała wśród kolonistów polskich olbrzymią sensację. Wszyscy wybiegali z domów na gościniec, aby zobaczyć botokudów, tych niegdyś przed 40 laty groźnych wrogów, a obecnie spokojnych sąsiadów, miłych gości. Wielu z kolonistów po raz pierwszy oglądało dawnych władców tej ziemi.

Dla gości czerwonoskórych przygotowano nocleg w domu ks. misjonarzy, ale wolni synowie puszczy woleli spędzić noc przy ognisku, rozpalonem na podwórcu misji, gdzie im przygotowano sutą wieczerzę.

Po krótkim pobycie w kolonji dzicy powrócili do swojego obozowiska, hojnie obdarzeni przez kolonistów, którzy dawali gościom zegarki, garderobę, noże, igły, paciorki i inne drobiazgi.

Ksiądz Kominek, którego goście indyjscy traktowali z taką serdecznością, nawrócił już 194 botokudów. Wizyta indjan miała, między innemi, na celu zaproszenie ks. Kominka i Olszówkę do ich obozowiska, w którem jest duża liczba dzieci jeszcze nieochrzczonych.

FRANCJA.

ODZNACZENIE DZIAŁACZKI POLSKIEJ.

P. Marja Sękowska, generalna delegatka Stow. „Les amies de la Pologne", otrzymała od rządu francuskiego odznaki „officier de l'Academie".

KALENDARZ DLA WYCHODŹTWA POLSKIEGO W ZACHODNIEJ EUROPIE.

Ukazał się w Paryżu pierwszy almanach, poświęcony wyłącznie sprawom polskiego wychodźtwa zarobkowego w zachodniej Europie. Zawiera on szereg informacji w sprawie warunków pobytu robotników polskich we Francji oraz obfity dział beletrystyczny i popularno - naukowy. Almanach cieszy się wielkiem powodzeniem u wychodźtwa polskiego, wśród którego dawał się dotkliwie odczuwać brak podobnego wydawnictwa.

KONKURS NA NAJLEPSZĄ OPOWIEŚĆ Z PRZEŻYĆ WE FRANCJI.

Redakcja „Gazety polskiej w Paryżu" rozpisuje konkurs na najlepszą powieść emigranta polskiego ze swego życia podczas pierwszych 3 lat pobytu we Francji. Jako pierwszą nagrodę wyznacza redakcja 100 franków i bilet na wycieczkę po Paryżu.

CZECHOSŁOWACJA.

WIELKIE DZIEŁO ROBOTNIKÓW POLSKICH.

Największa spółdzielnia polska znajduje się poza granicami państwa.

Jest to Centralne Stowarzyszenie Spożywcze w Łazach na Śląsku Cieszyńskim (po stronie czeskiej). Początki jej istnienia datują się od r. 1905. Grupowała wtedy przy jednym skromnym sklepiku zaledwie 88 członków. Stopniowo z roku na rok rozrastała się w coraz większą, mocniejszą organizację, skupiającą liczne rzesze polskich robotników Śląska. Następowała konsolidacja z innemi drobniejszemi spółdzielniami — w Karwinie, w Frysztacie, w Dąbrowie i w Cieszynie.

Centralne Stowarzyszenie dla Śląska w Łazach, liczące około 20.000 członków, posiada blisko 100 sklepów na przestrzeni od Jabłonkowa do Bogumina w powiatach: cieszyńskim i frysztackim. W wielu miejscowościach posiada własne domy, w których mieszczą się nietylko sklepy, ale i wszystkie inne organizacje robotnicze,, jak związki zawodowe, oraz niekiedy mają siedzibę wszelkie instytucje ogólnopolskie, nawet takie, jak „Sokół", „Macierz Polska" i t. d. Takich domów Stowarzyszenie posiada 54.

Magazyny, mieszczące się w budynkach kolejowych, dzierżąwionych od rządu, w Cieszynie i w Dąbrowie, zaopatrzone są obficie we wszelkiego rodzaju towary, nawet w łokciowe. Przeciętny obrót sprzedażny na jednego członka wynosi około $2\frac{1}{2}$ tysiąca koron czeskich. W Łazach znajduje się wielka piekarnia mechaniczna o trzech piecach, technicznie wspaniale urządzona.

Spółdzielnia zatrudnia ogółem 250 ludzi, w tem 18 w biurach. Koroną całego dorobku tej spółdzielni jest duży centralny gmach społeczny w Łazach, w których się mieszczą nadzwyczaj kulturalnie i pięknie urządzone biura, sale konferencyjne, wielka sala na zebrania, zaczątek muzeum spółdzielczego, bibljoteka i t. d.

Władze tej spółdzielni są w rękach samych robotników, starych wytrawnych działaczy miejscowych. Podziwiać należy ich wytrwałość i umiejętność w gospodarowaniu tem wielkiem, dość skomplikowanem przedsiębiorstwem społecznem, które może być bezwątpienia wzorem dla wielu spółdzielni u nas w kraju.

NIEMCY.

NIEZWYKŁY WYNALAZEK POLAKA.

Niezwykle ciekawego wynalazku dokonał w ostatnich czasach inżynier Suchorzyński, Polak, stale mieszkający w Niemczech. Skonstruował on mianowicie „sztuczne ucho". Jest to niewielki aparacik, umożliwiający rozróżnianie dźwięków przez osoby, które utraciły słuch.

Ciekawą jest geneza tego wynalazku. Syn inż. Suchorzyńskiego, będąc żołnierzem armji niemieckiej w czasie wielkiej wojny, wskutek kontuzji otrzymanej na froncie utracił zupełnie słuch. Leczenie okazało się bezskuteczne. Wówczas ojciec inwalidy postanowił poświęcić całą swą wiedzę skontruowaniu apartu, któryby choć częściowo ulżył cierpieniom jego syna. Wynikiem mozolnej pracy było stworzenie „sztucznego ucha", dzięki któremu syn inż. Suchorzyńskiego odzyskał słuch.

Zbytecznem jest dodawać, jak doniosłe znaczenie ma powyższy wynalazek.

DANJA.

OBCHÓD DZIESIĘCIOLECIA.

Dnia 11 listopada Związek Robotników Polskich w Nakskow urządził obchód 10-lecia odrodzonej Polski. O godz. 10.30 zrana wyruszył pochód z lokalu szkolnego do kościoła. Nabożeństwo odprawił ks. Smit i wygłosił kazanie okolicznościowe. Podczas sumy śpiewał polski chór pod kierownictwem p. Dobrowolskiej. Potem odśpiewano „Te Deum" i przy końcu „Boże coś Polskę".

Drugą część uroczystości odbyła się na Swinglen w Bibilonie, którą zagaił attaché konsularny, p. Domański. Następnie odegrano komedyjkę stosowną do uroczystości. Amatorzy spisali się dobrze, za co wynagrodzono ich oklaskami.

JUGOSŁAWJA.

DOM POLSKI NAD ADRJATYKIEM.

Od pewnego czasu panuje wzmożony ruch turystyczny polski nad Adran, czyli Adrjatyk słowiański, do jego cudownych nadbrzeży z takiemi osiedlami, jak Split (Spalato), Dubrownik (Raguza) i Kotor, zastępujących śmiało najpiękniejsze riviery włoskie i francuskie, owszem, bijące tamte pięknem krajobrazu i taniością utrzymania, długością sezonu, trwającego dziesięć miesięcy i słońcem oraz wodą. W tym roku były tutaj dość liczne wycieczki. Dwie z nich organizowało Towarzystwo Domu polskiego nad Adrjatykiem. Uczestnicy tych wycieczek wprost zakochali się w Adrjatyku, a szczególniej w Raguzie i Splicie. Ten ostatni staje się bliskim sercu inteligencji polskiej, gdyż w jego pobliżu na wyspie Szolcie buduje się Dom Polski. Sama Szolta jest położoną zaledwie o pół godziny jazdy statkiem od Splitu. Ma cudowny krajobraz i klimat, a samo miejsce pod Dom Polski jest śliczną i spokojną zatoczką Nieczują i kilkunastuhekatrowem wybrzeżem, już rozparcelowanem na działki, na których już w najbliższej przyszłości zaczyna się budowa kasyna i willi polskich. W Splicie zawiązuje się Koło przyjaciół Polski i jugosłowiańsko - polska Izba Handlowa. W dniu rocznicy dziesięciolecia Polski odbyła się tutaj staraniem miejscowego Sokoła oraz dyrektora Domu polskiego p. Mikułowskiego i pułkownikostwa Wężyków, bawiących tutaj dłuższy czas, akademja ku czci Polski. Ludność miejscowa cieszy się niezwykle z tego zbliżenia się Polaków do wybrzeża adrjatyckiego.

DZIAŁ DZIECINNY



Wydawnictwo pocztówek K. Wojutyńskiego w Warszawie mal. A. Römerowa.

Do dzieci polskich na obczyźnie.

Nadchodzi Boże Narodzenie i znowu tyle kochanych polskich dzieci daleko od Polskiej ziemi Święta spędzać będzie. Każdemu chciałoby się przesłać śliczne świąteczne podarunki i rozłożyć je pod choinką, żarzącą się od światła, uginającą się pod łakociami i każde dziecko polskie pragnęłoby się uściskać, przytulić, błogosławieństwem Bożem je obdarzyć na Rok Nowy, aby rosło zdrowe i wesołe to nasze najmilsze chłopię czy dziewczątko, tak, jak Dzieciątko Jezus „pomnażając się w łasce u Boga i u ludzi".

Ale jakże tu tylu dzieciom, w tyle miejsc, tyle i tak cennych darów przysłać? Chyba Dzieciątko Jezus uprosimy, aby Gwiazdce swojej cudnej Betlejemskiej, tej samej, która świeciła nad stajenką ubożuchną, która doprowadziła Mędrców ze Wschodu i która świeci i dziś nad Polską i nad Wami — rozkazał myśli nasze i uczucia serdeczne dla Was i modlitwy gorące z ziemi polskiej promieniami swemi przenieść do Francji, Danji, Łotwy, Litwy, Niemiec i na Daleki Wschód i przez morze do Ameryki, wszędzie tam, gdzie są polskie dzieci, i złotym promieniem na wasze główki je spuścić.

Pamiętajcie Dzieci kochane, gdziekolwiek Wigilję spędzać w tym roku będziecie, spojrzeć w niebo w świąteczną Noc Bożego Narodzenia i szukać tej złotej Gwiazdy. Choćby ją wam obłoki chwilowo zasłoniły, bądźcie pewne, że z miłością na Was z nieba spogląda i błogosławieństwo Ojczyzny niesie. *I. P.*

W. BEŁZA.

Dzieciom polskim na obczyźnie.

W DNIU GWIAZDKI.

Gwiazdka już wschodzi! O drogie dzieci!
Wy, rozproszone w obczyźnie:
Niechaj wam ona tak jasno świeci,
Jak naszym dzieciom w ojczyźnie!

I niech jak naszym dzieciom przyniesie,
Wam, moje dziatki kochane:
Orzechy, w polskim zbierane lesie
I jabłka, jak wy rumiane.

Niech hojnie każde dziecko obdarzy,
Ten gość cudowny, niebieski:
Aby nie było na żadnej twarzy
W tym dniu ni smutku ,ni łezki.

Niech wam choinkę ładnie ubierze,
W woskowych świeczek płomyki;
Niech tam w pudełkach będą żołnierze,
A na gałązkach pierniki.

Cieszmy się wspólnie, bądźmy weseli,
Niech nic radości tej nie ćmi!
Bo i nad wami krążą anieli,
Ci, co czuwają nad dziećmi.

Co się w niewinnych snach dziatkom jawią,
Gdy śnią o gwiazdce i raju,
I tak w tej chwili wam błogosławią,
Jak naszym dziatkom tu w kraju!

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

Kolenda dziecinna

Zbieram się długo, od samego lata,
Zobaczyć Ciebie w świętem Betlejemie,
Tylko, że od nas trzeba przejść pół świata,
By w twą zamorską zawędrować ziemię.

Pokaż mi dzisiaj za naszym ogrodem,
Najbliższą drogę do twojej stajenki,
Za to opłatek przyniosę Ci z miodem,
Stanę na palcach i podam do ręki.

Snop wezmę z sobą, przyda Ci się słoma:
Niech Matka Boska w jaką noc zadymną
Żłób nią wyścieli świętemi rękoma
By Ci nie było w twej kołysce zimno.

A gdy Ci twardo będzie bez poduszek,
I smutno — zapal na gwiazdach światełka,
Ja Ci dam trochę mych suszonych gruszek
I zeszłoroczne opowiem jasełka.

Jak szli trzej króle z koroną na głowie,
Jakeśmy wtedy zabili Heroda,
I jak na skrzypkach grali pastuszkowie. . .
Tak ślicznie było... Tyś nie widział... Szkoda...

A potem razem z Betlejem pójdziemy
Do nas pomodlić się gdzieś na pasterce,
I tu usłyszysz malusieńki, niemy,
Jak kolenduje Tobie moje serce.

(Ze zbioru „WRÓBLE NA DACHU", Wyd. Ignis 1921 r.)



M. H. SZPYRKÓWNA.

SERCE.

Przed samą wilją spadł śnieg, i nakrył mały Żukiszkowski dworek, że wygląda jak biały grzyb na ciemnej nóżce, który jesień, odchodząc zapomniała zebrać do kosza. Jest tak zgubiony w lasach i polach, tak het het za światami, tak daleko od kolei i wszelkich dróg: że gdyby trzej mędrcy mieli, naprzykład, wędrować za gwiazdą do pobliskich Babinowicz, zamiast do Betlejem, to kto wie, jakby tam było z przybyciem do stajenki?

Tak, w każdym razie, uważa Józik, który przecież zeszłego roku, przy całem doświadczeniu Kasztanki i własnych ośmiu już blisko latach życia, jednak zabłądził ów jedyny raz, kiedy go posłano z Samusiem od stajni do tychże Babinowicz po opłatki, bo pani ekonomowej zabrakło pod placki. Samuś wstępował po drodze do karczmy na zakręcie za jakąś pilną sprawą do Jankla, a potem, jadąc, usnął: a Kasztanka, którą Józik wtedy nareszcie mógł samodzielnie kierować, zawiozła go o mile dalej, do księdza wikarego, u którego dziadun wyhandlował ją przed rokiem na dyszlowego Pioruna. I placki od spodu były wydrukowane „Dzwonkiem Częstochowskim", który co niedziela przysyłano dziadunowi z poczty.

Zwykle jednak opłatki przywozi do Żukiszek sam pan organista jeszcze w przedświątecznym tygodniu. O zmierzchu dnia pewnego brama szeroko się otwiera, stękając i skrzypiąc jak żebraczka Marcelinka, kiedy po obiedzie we dworze musi wreszcie wstać i ruszyć dalej. Wjeżdżają małe sanki, okryte wielką baranicą, którą Ratuj, zachryple ujadając, usiłuje pochwycić za koniec — i z pod baranicy wygrzebują się długonogie buciska z klakami siana za cholewą i wiechcie zaśnie-

żonych wąsów, nieomylnie wskazujących, że jestto właśnie pan organista z Babinowicz, odległych o siedem mil.

Opłatki są wypadkiem radosnym, jak każdy zresztą wypadek w cichutkiem przycupniętem pod śniegami Żukiszkowskiem życiu, i Józik jest pełen wzruszenia.

— Opłatki... — woła, pędząc co sił przez puste w zimie pokoje w stronę sypialni, gdzie mieszka w swoim fotelu na kółkach babuńka. Opłatki przywieźli, a pani ekonomowa zamknęła drzwi od werandy na klucz i nie może wejść.

— To i obejdzie się: przez kuchnię wejdzie, korona z głowy nie spadnie, — ofuka się pani ekonomowa, która zawsze jest na podorędziu, ku utrapieniu czeladnej i Józika. Ryba w galarecie na werendzie stygnie, to i zamknięte. Opłatki. Strucle niepopieczone, kiełbasy nieporobione, w domu jak na wyrwańskiej ulicy; a tu przyjmuj gości! Marcelka! Fujaro nieszczęsna. Dokąd lecisz z podkasaną spódnicą, wstydu w oczach nie mając? Ciasto zamieszone, jak kazałam, że już po spacerach latasz?

Marcelka uderza w ponsy i śpiesznie oskubuje poszkodowaną część garderoby.

— Bo to nasz pan przyjmuje w gospodarskim pokoju opłatki od pana organistego i kazał, żeby pani ekonomowa pozwoliła wiśniaku albo jarzębinówki, i piernika.

— I piernika! Piernika! — podtrzymuje radośnie Józik, skacząc radośnie koło pani ekonomowej. Ale tego z rodzenkami, nie z kminkiem. Słodkiego.

— Słodkiego... — przedrzeźnia z wyraźnym wyrzutem pani ekonomowa. Grzech i obraza boska, jakie teraz zwyczaje poszli. Tu Pan Jezus za dwa dnie narodzi, a tu: jarzębinówka. Delikatesy. Przyjęcia. I to jest komu, Boże odpuść, świat gubić: organista. Już nasz pan sowietnik to, można powiedzieć, dla niskiego stanu zanadto łaskaw, zanadto...

Józik niebardzo rozumie, dlaczego przed Narodzeniem się Pana Jezusa nie można jest słodkiego, skoro babuńka w sobotnich katechizmach wyraźnie uczy, że Boże Narodzenie, jestto „uroczystość radosna". I niewątpliwie tak jest, bo piecze się wtedy i gotuje masami pysznych rzeczy, a zeszłego roku Józik nadto dostał nową bekieszę ze starego dziaduńkowego kożuszka i takąż czapeczkę, nie licząc strzelby, książki ze zwierzętami i łamigłówki od stryja Ksawerego, a także wiele słodyczy. I mogłoby to zresztą nie być radosne, skoro już nawet na długo przed świętami w Żukiszkach znać, że szykuje się coś nadzwyczajnego.

Popierwsze zaczyna się ożywiony ruch pomiędzy dworem a oficyną w podwórzu, gdzie mieszka dzierżawca pan Zajączek z panią Zajączkową i panną Dorotką, która siedzi całemi rankami w oknie bawialni i wystrzyga papierowe koronki na indycze nogi i prosięce obróżki. Dziewczęta z czeladzi wciąż latają od ganku do ganku z miskami, pełnemi kiełbas, kwaszonych jabłek, kapusty i szmalcu. Parobek Samuś pod dozorem samego pana Zajączka wchodzi w świronku na drabinę i zdejmuje z belek półgęski, łopatki i szynki. W salonie we dworze litwin Jurgis wstawia wysoką, zieloną choinkę, poczem pokój przestaje się opalać, żeby igły się nie sypały, i pani ekonomowa urządza tam przy sposobności podręczną spiżarnię smakołyków, pieczonych i smażonych na święta, zwłaszcza zaś kosz z bakaljami. Wtedy też wszystko zaczyna tam pachnąć prawdziwem Bożem Narodzeniem: trochę jak piernik, a trochę jak las. U państwa Zajączków także jest choinka, i w gospodarskim pokoju — osobna, którą kuchenne dziewczęta wraz z panną Dorotką ozdabiają pięknie wycinanemi z kolorowej bibułki łańcuchami i ozdobami, od których oficyna państwa Zajączków jest jeszcze długo po świętach zielona, różowa i biała. Józik bardzo lubi asystować przy wystrzygankach, ale coraz to leci do przedpokoju i przez dziurkę od klucza wciąga smaczny zapach, który wieje wraz z chłodem poprzez zamknięte drzwi od słodkiego stolika. Jestto stolik z przed okna na którym stoją torty, bakalje i pieczywo — żeby się nie rozeszło między rękami, jak mawia praktyczna pani ekonomowa.

Ale najciekawszy jest sam dzień wilji, który mimo wszystko w końcu zawsze nadchodzi. Józik wtedy od rana lata z salonu do gospodarskiego, pomagając zastawiać stół do wigiljnej wieczerzy, tego dnia raz do roku odbywanej uroczyście nie w jadalni, a w salonie. Salon jest duży, więc mieści się w nim z łatwością długi stół, zesuwany z desek i kozłów przez Samusia i Pana Zajączka. Na ten obrządek dziaduń sam otwiera zamknięte drzwi salonu ogromnym kluczem i oznacza, gdzie i jak stół ma być umieszczony. Nie może nie być długi, bo zasiądą do niego na wilję nietylko dziaduń, babuńka, Józik i pani ekonomowa, ale jeszcze i państwo Zajączkowie z Dorotką, która ma ośmnaście lat, i ojciec pana Zajączka, który ma ośmdziesiąt i jest zupełnie stareńki, tak, że musi trząść głową czy chce czy nie chce — i ponadto stryj Ksawery z pobliskiego Balbinowa. I po stryja Ksawerego co roku sam dziaduń z Samusiem albo jeśli nie jest za mroźno — z Józikiem, jedzie małemi sankami około południa, żeby go przywieźć do Żukiszek na wilję.

Józik bardzo lubi stryja Ksawerego, chociaż jest wysoki, milczący i zawsze myśli. Wyjeżdża ze swego Balbinowa bardzo rzadko od czasu kiedy stracił Anielkę, już tak prawie dużą, jak Józik. Ale na wilję do Żukiszek przyjeżdża, chociaż pewnie dlatego, że dziaduń po niego jedzie sam. Józik coraz to wygląda oknem, czy sanna dobra i czy już prędko można będzie ruszyć, bo mimo wszystko, jechać jest bodaj jeszcze przyjemniej, niż narządzać stół do wilji. Wreszcie koło południa dziaduń każe zaprządz cugiem Kasztankę i Bystrego do małych sanek i mrugając na Józika, mówi:

— No, stół przenieśli, choinkę nastawili, a teraz to już niech kobiety same sobie dalej rady dają. Przed

wilją w domu, niech Pan Bóg zachowa. A to przysmarzone, a to niedopieczone, a tam znów, Ratuj do ryby łapę wsadził: tylko człowiek uważa, żeby pani ekonomowej pod rękę się nie podkręcić i wałkiem po łbie, zamiast Pietrka, nie oberwać. Ubieraj się, Józik, mosterdzieju, a ciepło. Mróż. Pojedziemy do Balbinowa.

— Ale czy nie za zimno, Romusiu, dla Józiczka, — niepokój się babunia. Włóż, kruszynko, kożuszek zwierzchu, i żeby Samuś nie zapomniał baranicy dać na nogi. Adelko, serce, dopilnuj, żeby Józiczek się ubrał jak należy.

Pani ekonomowa dopilnowuje, ale i tak trzeba przyjść potem do samego fotelu babuńki, żeby sprawdziła, że pod ciepłą kurteczką jest wełniana koszulka i na wierzchu kożuszek. Józik z niecierpliwości i radości nie może ustać na miejscu i wciąż wkłada i zdejmuje ciepłą czapeczkę z uszami. Wszystko jest takie radosne i odświętne. W salonie pani ekonomowa już potrząsnęło stół sianem i nakryła wyprawnym babuńczynym obrusem, który sięga aż po podłogę. Talerze i sztućce na tem podścielisku przytuliły się, jak w gniazdkach, i napewno już nie można wywrócić zupy. Pośrodku stołu zarzuconego choinką stoi postument z pięknie zrobionem przez litwina Jurgisa Betlejem z wosku i opłatków, w które można włożyć na krótki czas maleńką latarenkę. Wtedy widać prześwietloną biało i błękitno szopkę z Matką Boską i Dzieciątkiem, a także głowę wołu za nimi. W sianie ponadto przy każdym talerzu będą leżały małe prezenty — bo wielkie są dopiero pod choinką. Małe prezenta są niebardzo ważne, ale ogromnie ciekawe, bo nikt nie może zgadnąć, co dostanie, i dopiero przy pszenicy z miodem i maku, już po wszystkich dwunastu potrawach, można ciągnąć z pod talerza źdźiebełka na długie albo na krótkie życie i szukać koło sztućców prezentu.

Józik jest straszliwie ciekaw, co dostanie, i troszkę nawet się domyśla, ale się boi, że może nie. Jestto śliczny, płaski piernik, wycięty w kształcie czekoladowego serca, ze złotą gwiazdą pośrodku, i marcepanowemi długiemi promieniami, na którą wprost nie sposób jest patrzeć, aby nie chcieć jej zjeść. Dziaduń wprawdzie zaraz po przyjeździe z miasta schował go, śmiejąc się, do biurka, i powiedział, że to pan Kogutkiewicz, którego spotkał, przysyła swoje serce dla panny Dorotki, ale wiadomo przecież, że to był żart. Panna Dorotka na przyszłą jesień będzie się żeniła z panem Kogutkiewiczem.

Niepewność, co się stanie z piernikiem podczas jego nieobecności, jest dla Józika, pokazuje się, nie do zniesienia. To też udaje się do ostatniej ucieczki, jaką jest babuńka. Jest bardzo przykro i wstyd, będąc mężczyzną, o cokolwiek prosić. Ale babuńkę prosić można, bo zawsze jest okryta peleryną pod którą doskonale da się schować głowę podczas wymawiania najwstydliwszych kwestyj. Zwłaszcza, że kosz z bakaljami stoi przy jej fotelu; będzie wiązała ozdoby na kolorową włóczkę do zawieszania.

Zmięszanych i coraz cieńszych relacji Józika babuńka wysłuchuje z właściwą sobie cierpliwością, i właśnie kiedy gotów jest już do płaczu, uspakajająco kiwa głową.

— Dobrze, kruszyno, dobrze rybko. Tobie będzie piernik, tobie, nie komu. A jeśli tak już chcesz koniecznie, to i weź zaraz. Potem, przed samą wilją, połczy się znowu do siana. Już ja pani ekonomowej wytłómaczę. Czemuż płakać, maleńki?... Boże Narodzenie — to wesołe, radosne święto. Nawet i najsmutniejszy nie powinien zostać bez pociechy. A już szczególnie małe dzieci; toż sam Pan Jezus dzieciątkiem się wtedy narodził.

Czekoladowy, wspaniały piernik przechodzi w szczęśliwe ręce Józika i dla pewności, owinięty jest w gazetę i schowany za kurtkę, żeby było bezpieczniej. Można jechać. Sanna śliczna, Kasztanka rwie jak ogień, tak, że solidny Bystry parska i irytuje się. A niewidoczny za nastawionym kołnierzem futra dziaduń jedną ręką trzyma lejce, a drugą przytrzymuje Józika, który się czepia z całych sił skraju maleńkich sanek, żeby nie zgubić się i nie wypaść, jak zeszłej zimy zgubił się od Jurgisa Pietrek z kuchni. Mimo to, chwycił na rękę koniec lejc, zwisający z pod łokcia dziadunia, bo w ten sposób ma także swój udział w rzeczy rozkosznej i dorosłej, jaką jest powożenie. A zwłaszcza taką Kasztanką. Ba.

Powietrze jest suche i mroźne. Chaty pod zaśnieżonemi strzechami przykucnęły, jak białe muchomory. I może po godzinie mknące jak wicher sanki zataczają łuk przed Balbinowskim nieobmiecionym ze śniegu gankiem.

Stryj Ksawery jest w domu i sam. Balbinowski dom jest wielki, pusty i cichy. Większość okien jest zasłonięta, a drzwi pozamykane. Tylko w gabinecie pali się na kominku. Przed ogniem umieszczony jes stolik z maleńką, wzrostu dziewczynki, choineczką, nieubraną zupełnie niczem prócz śniegu ze srebrnej waty. Z dwu stron pod drzewkiem palą się dwie smutne świeczki, a w środku stoi ramka z fotografją, obciągnięta krepą i tem dziwniejsza, że dziewczynka, która się z niej uśmiecha, jest taka radosna i jasna. To — Anielka, która nie wróciła już nigdy z zagranicy i po której tak osiwiał stryj Ksawery. Jest bardzo piękny i dotąd i Józik myśli, że tylko książę Józef mógł być jeszcze ładniejszy. Ale uśmiecha się rzadko i na krótko, a nawet mówiąc, myśli o czemś swojem, co jest niewiadome i smutne.

Dziaduń ze stryjem rozmawiają, wypijają wina, zagryzają rybką i wychodzą obejrzeć gospodarstwo. Józik zostaje i przegląda książkę, którą mu dał stryjek. Jestto „Mały Lord", za którym tak przepadała Anielka. Józik lubi ją także, ale dziś jest mu dziwnie nieswojo. Dwie świeczki palą się szczególnie żałobnie. Więc jakże to? Wszyscy pojadą, a Anielka zostanie

sama w pustym, zimnym domu?... Czy może być, żeby i wtedy uśmiechała się tak samo? To niemożliwe. Kto wie, czy kiedy nie widzi jej nikt, nie płacze? Dziewczynki zawsze wszystkiego się boją, a w Balbinowie są szczury takie, że nawet sam Józik... zresztą, w Żukiszkach będzie choinka, kolendy, światła, wilja z dwunastu postnych potraw, jazda w sześcioro sanek do Babinowicz na pastrkę. — A Anielka?... I przecież babunia mówiła, że dziś nawet najsmutniejszy nie powinien zostać bez pociechy?

Józikowi błysnęła pewna myśl. Ale jest zbyt bohaterską, aby ją wykonać zaraz. Usiłuje więc jej nie spostrzedz; ale wraca uparcie i kołuje niejako w okolicy serca, na którem spoczywa wielki, płaski czekoladowy piernik, już trochę nadtopniały od gorąca. Taki marcepanowy, taki z gwiazdą w środku, taki napewno doskonały piernik. Nie możliwe. I nawet przecież sama babunia powiedziała, że to dla niego, Józika.

W pokoju jest zupełnie cicho. Pewno dlatego tak doskonale słychać, jak Józikowe serce uderza szybko, jakby się sprzeczając samo ze sobą. Tak — tak. Nie — nie. A uśmiechnięta radośnie Anielka patrzy z pod krepy, jakgdyby czekała na coś i dla siebie w to wielkie, w to uroczyste zwłaszcza dla dzieci święto, kiedy się narodzi maleńki Pan Jezus.

Kiedy stryjek i dziaduń wracają, zbliża się już ku zmierzchowi, i trzeba jechać, żeby na czas zdążyć na wilję. Józika znajdują w jadalni, zajętego ciąganiem za uszy wyżłów, z któremi poluje stryjek: Gong i Salamandra. Stryjek już się ubrał w bekiszę, a dziaduń wciąga długie furmańskie rękawice.

— Niech Bóg zachowa, żeby się spóźnić — żartuje, podmigając. Taką baby człowiekowi wyprawią wilję, że do Wielkiej nocy się nie opamięta.

— Już jedziemy. Tylko zgaszę w gabinecie świeczki — mówi stryj, wychodząc. Chwileczkę.

Za chwilę istotnie wraca i trzyma duży, piękny piernik, który, idąc, ogląda.

— A to pan dobrodziej pewnie zapomniał — zwraca się żartobliwie do Józika. Dopieroż byłaby krzywda.

Ale Józik już w futerku zaciska mocno czapeczkę w dłoniach i cofa się od wyciągniętej ku niemu ręki.

— Ja nie... zapomniałem... — Mówi basem, jak zwykle w chwilach wzruszenia. Czerwieni się przytem po uszy. To... dla Anielki. Bo dziś jest wilja, i choinka, i wszystko. Sama babuńka powiedziała, że nie można, żeby dzisiaj małe dzieci były smutne.

Głos mu drży ze zmięszania i wzruszenia, i jeszcze chwila, a rozpłacze się na dobre. W pokoju jest milczenie. Dziaduń chrząka i odwraca się ku oknu. Stryj Ksawery stoi nieruchomo, jakby nad czemś głęboko myślał. Potem zbliża się do Józika, bierze go, wraz z futerkiem i czapką na ręce i kierując się ku drzwiom gabinetu, mówi niegłośno:

— To cię bardzo przepraszam. Pójdziemy w takim razie oddać go z powrotem Anielce. Z pewnością bardzo jej się podoba. Zawsze lubiła gwiazdkę.

Świeczki się jeszcze palą. Stryjek kładzie piernik przed ramką i chwilę patrzy w śliczne jasne oczy Anielki. Usta mu się krótko poruszają, jakgdyby mówił jakieś króciutkie, bardzo dobre słowo. Poprawia uważnie krepę na ramce, stawia fotografję na miejsce i muskając szorstkim wąsem policzek Józika, którego spuszcza na ziemię, mówi:

— Dziękuję ci chłopcze. I za Anielkę, i za siebie. Będziemy dziś oboje mniej smutni. Dałeś wielki, bardzo wielki prezent: serce. I trzej królowie nic wspanialszego nie mieli.

Poczem stryj gasi świeczki, ogląda się i wyszedłszy, zamyka za sobą i za swoim małym gościem drzwi. Za chwilę wielkie, okryte niedźwiedziem sanie stryjka podrywają jak wicher z miejsca, tak że jadący za nimi na Żukiszkowej Kasztance stryjkowy chłopak, zostaje daleko w tyle. Śnieg leci z pod kopyt, a wsie migają niewiadomo kiedy, tak, że już nawet z góry nie widać Balbinowa.

— Już tylko dach... — wylicza siedzący tyłem do biegu Józik. A teraz tylko topole. A teraz już zupełnie nic.

I sanie w śnieżnym pędzie mkną do wesołych, oświetlonych Żukiszek, pozostawiając daleko za sobą ciemny dom balbinowski, gdzie jednak tego dnia świeci także jedna maleńka gwiazdka — gwiazdka, którą jest tak ślicznie wyżłobione leżące pod fotografją Anielki Józiukowe serce.

WESOŁY KĄCIK.

WSTĘP DO BAJEK.

Był młody, który życie wstrzemięźliwe pędził;
Był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził;
Był bogacz, który zbiorów potrzebnym udzielał;
Był autor, co się z cudzej sławy rozweselał;
Był celnik, który nie kradł; szewc, który nie pijał;
Żołnierz, co się nie chwalił; łotr co nie rozbijał;
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
Był nakoniec poeta, co nigdy nie zmyślał,
A cóżto jest za bajka? wszystko to być może!
Prawda! Jednakże ja to między bajki włożę...

IGNACY KRASICKI
(urodz. w 1735 r. umarł w 1801 r.; biskup Warmiński, później arcybiskup Gnieźnieński, najznakomitszy bajkopisarz i satyryk polski).

NASZE DZIECI.

— Co dostałeś na gwiazdkę?
— Maszynkę do golenia.
— Jakto? Czyż ośmioletni chłopczyk goli się?
— Ojciec powiedział, że będzie jej używał sam, tak długo, dopóki mnie broda nie wyrośnie.

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA ROK 1929

*

Mała Elżunia opowiada:

— Głosowałyśmy dzisiaj w szkole, która z całej klasy jest najładniejsza.

— Na którąż padł wybór?

— Na żadną. Każda otrzymała po jednym tylko głosie.

*

Dwaj chłopcy idą ulicą miasta i spostrzegają w oknie zegarmistrza zegar ścienny z napisem: Idzie 14 dni bez nakręcania.

— Wejdźmy — powiada jeden z nich — i zapytajmy, jak długo idzie, gdy się go nakręca.

*

— Czemu milczysz, mamo?

— Cóż mam powiedzieć?

— Powiedz: Karolku, weź sobie duże ciastko z szafy!

UPRZEJMY.

— Łaskawa pani ma prześliczne włosy!

— To po matce.

— Zachowane są bez zarzutu.

MIĘDZY PIJAKAMI.

— Henryku! Jakżeś się zmienił, nie poznałbym cię!

— Nie jestem Henryk, nie znam cię, ale popić możemy!

ANEGDOTKI WARSZAWSKIE.

W Warszawie coraz więcej widzi się kobiet, prowadzących auto.

Złośliwi lub surowi twierdzą, że nasze panie jeżdżą po ulicach Warszawy zbyt śmiało. Proponują nawet wydanie pewnych rozporządzeń w tej mierze...

W swoim czasie podobne „niebezpieczeństwo" groziło Warszawie, gdy za czasów Ks. Warszawskiego młode elegantki rozbijały się po Warszawie powożonemi przez siebie kabrjoletami. Bywały nawet wypadki rozjeżdżania ludzi...

Ale ówczesny szef policji nie chciał wydać zakazu, wzbraniającego kobietom powożenia. Wydał jednak rozporządzenie, pozwalające powozić tylko paniom, które ukończyły trzydziesty rok życia.

Nazajutrz nie powoziła już żadna.

Obecnie w Warszawie nikt już o takim zakazie nie myśli. Nasze automobilistki jeżdżą z gracją i dość ostrożnie. Wszelako, jeśli ktoś z Was, Czytelnicy, przyjedzie do Warszawy i ujrzy czarowne zjawisko, kierujące autem, powinien nie przechodzić wówczas jezdni. Dobrze radzimy!

„Zadaniem Stowarzyszenia jest udzielanie opieki wyjeżdżającym z kraju i przebywającym na obczyźnie rodakom oraz utrzymywanie z nimi łączności duchowej i kulturalnej, opartej na wspólnych tradycjach katolickich i narodowych".

(Art. 7. Statutu Opieki Polskiej nad Rodakami na Obczyźnie).

WARUNKI PRENUMERATY: w kraju łącznie z przesyłką pocztową: Rocznie zł. 10, półrocznie zł 6. Numer pojedynczy 1 złoty, Zagranicą rocznie: w Rumunji 200 lei, w Ameryce 2 dolary, we Francji 30 franków, w Niemczech 5 mk.

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona za tekstem zł. 300, 1/2 strony zł. 150; 1/4 zł. 80; 1/8 — 40; 1/16 — 20; 1/32 — 10; ogłoszenia opisowe w tekście redakcyjnym o 50% drożej.

WYDAWCA: Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie. Redaktorowie: Jadwiga Morawska i Janusz Stryjewski

Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Krakowskie Przedmieście 6, 11 a. Tel. 90-54.

Salezjańska Szkoła Graficzna Warszawa, ul. Ks. Siemca 6. Tel. 82-65.

SALEZJAŃSKA SZKOŁA GRAFICZNA
WARSZAWA, UL. KS. SIEMCA Nr. 6.